MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIV. Nr. 50. WARSZAWA, 25 LISTOPADA 1934 R. CENA NUMERU 80 GR.

KRYZYS PAŃSTWOWY WE FRANCJI

FRANCJA przeżywa przesilenie państwowe, podobne do tego, jakie przeżyły już inne kraje Europy zachodniej. Oto pierwsza prawda, którą trzeba pamiętać, jeśli się chce zrozumieć to, co się we Francji dzieje. Pozornie odbywa się tam jeszcze wszystko według dawnego rytuału parlamentarnego; w istocie rzeczy wszakże, od dn. 6 lutego 1934 roku, rozpoczął się okres nowej rewolucji w stosunkach politycznych Francji. Ludzie wszakże są ludźmi; podobnie jak świadkowie pierwszych drgnień ruchu rewolucyjnego w wieku XVIII-ym nie zdawali sobie sprawy z tego, że zaczęły się rozkładać formy stare, a powstają nowe, tak i ludzie współcześni nie rozumieją, że sypie się w gruzy dawna budowa, a z tych gruzów zaczyna wyrastać nowa.

Ma się ku końcowi w Europie okres, rozpoczęty Odrodzeniem, okres kultury, opartej na indywidualiźmie i materjaliźmie, okres, którego najwyższem natężeniem był wiek XIX, zrodzony z Wielkiej Rewolucji. Trwa ten wiek XIX najdłużej we Francji, lecz i tu zapowiada się jego zmierzch. Pójdzie to innemi drogami, niż we Włoszech i w Niemczech, lecz niemniej przeto trzeba uznać, że kraje cywilizacji rzymskiej są tak ze sobą związane przez geografję i historję, iż podobnym ulegają prawom i losom...

*

Likwidacja wieku XIX we Francji uwidoczniła się na ulicach Paryża w dn. 6 lutego roku bieżącego. Rząd p. Daladier'a padł nie w parlamencie, lecz na ulicy. Ustąpił pod presją opinji publicznej i będącego jej wyrazem ruchu społecznego. Załamanie się dawnego porządku było tak widoczne, że nie dostrzeżono już możności pójścia drogami przyjętego rytuału przy formowaniu rządu, lecz poszukano starca, który przez swoją przeszłość nadawał się na to, by uspokoić opinję publiczną i poprowadzić państwo na nowe drogi. Tak przyszedł do władzy p. Doumergue. Miał uleczyć widoczne wady rządów parlamentarnych i otworzyć naoścież wrota sprawiedliwości.

I to i tamto groziło wszakże obaleniem ustalonego od dziesiątków lat systemu, groziło usunięciem od władzy tych, którzy ją przez długie lata sprawowali. System — to demokracja z masonerją jako armaturą. Dzierżący władzę — to wolnomularstwo. Od 6 lutego zaczęło się jawne zmaganie o władzę we Francji między żywiołami narodowemi a masonerją. To stanowi istotę polityki francuskiej dnia dzisiejszego. Nie chodzi tam o takiego lub innego człowieka, o taką lub inną kombinację partyjną, o taki lub inny program szczegółowy. W grze jest to, czy masonerja będzie nadal rządziła Francją, czy też nie. I dlatego walka będzie trudna i długa, dlatego to można mówić o tem, że stoimy dopiero u jej początku.

*

Polityka lóż prowadzi Francję do rozkładu wewnętrznego, a przez to do upadku jej znaczenia

w świecie. Tego nie widzi jeszcze większość społeczeństwa francuskiego. Większość ta jest jednak wrażliwa na różne objawy tego rozkładu i dlatego tak została poruszona aferą Stawiskiego.

Trzeba zaś stwierdzić z całym naciskiem, że zarówno dawna afera Stawiskiego, jak nowa afera Lewy'ego-Goldenberga są to afery ściśle związane z łożami i z ich wyrazem zewnętrznym w życiu politycznem — ze stronnictwem radykalno-socjalistycznem. Afery te są produktem rozkładu wewnętrznego masonerji i jej metod organizacyjnych i politycznych; dlatego zagrażają dalszym jej rządom we Francji.

*

P. Doumergue usiłował wprowadzić kraj na drogę do naprawy wewnętrznej, nie zmieniając tego ustroju, który Francja dała sobie po upadku Napoleona III. Był republikaninem i demokratą, chciał w ramach republiki i na podstawach demokracji uzdrowić państwo i politykę. Mimo to musiał uderzyć w wiele rzeczy, które są drogie masonerji — chciał zmienić konstytucję i rzucić pełne światło na aferę Stawiskiego tudzież związane z nią ściśle zabójstwo Prince'a. Oświetlenie afery Stawiskiego byłoby ujawnieniem udziału w niej lóż i odsłonięciem istniejącego w nich bagna, oraz skompromitowaniem wybitnych przedstawicieli wolnomularstwa. Wykrycie zabójców Prince'a byłoby wskazaniem na to, że była to zbrodnia masońska. Reforma konstytucji, w sensie proponowanym przez p. Doumergue'a, byłaby poważnem utrudnieniem masonerji w jej panowaniu nad parlamentem i całym aparatem rządowym.

Do tego wszystkiego loże dopuścić nie mogły i dlatego usunęły p. Doumergue'a.

*

Rząd p. Flandina, mimo pozorów, iż jest dalszym ciągiem poprzedniego, jest rządem kontrofensywy masońskiej. Dzieje jego powstania dowodzą, że był zręcznie i konsekwentnie przygotowany. Skład wskazuje na dominujący w nim wpływ lóż. Program jest wyrazem fortelu, polegającego na odwróceniu uwagi społeczeństwa od polityki, od rzeczy istotnych i najważniejszych, na sprawy kieszeni — finansowe i gospodarcze. I to w chwili, gdy właśnie sprawy polityczne i moralne wysuwają się na plan pierwszy, w chwili, gdy od uzdrowienia moralnego i od dobrej polityki zależy niemal istnienie Francji, jako wielkiego mocarstwa i jej rola dziejowa w Europie. Masonerja pragnie zaabsorbować myśl Francuzów sprawami dnia codziennego i bytu materjalnego, by odwrócić ich uwagę od siebie i od swoich grzechów...

*

P. Doumergue został zmuszony do odejścia. Porzucili go z lekkiem sercem jedni koledzy w rządzie, zdradzili perfidnie inni. Odszedł, a opinja społeczna nie drgnęła, ulica została spokojna. Jak sobie to wytłumaczyć? Czyżby wszystko miało powrócić do stanu dawnego? Czyżby rachuby lóż, że opinja już wszystko zapomniała, były trafne?

Wytłumaczenie jest bardzo łatwe i proste: w ramach istniejącego ustroju niepodobna przeprowadzić gruntownej naprawy, ani odsunąć od władzy masonerji. Wolnomularstwo nie ma szczególnej predylekcji do żadnej formy państwowej; potrafi równie dobrze wyzyskiwać ustrój demokratyczny, jak autokracje i dyktatury (w Europie współczesnej możemy znaleźć wiele przykładów pouczających); lecz we Francji zrosło się ono z Republiką w sposób nierozerwalny. Stąd wynika słabość sił antymasońskich w obozie republikańskim; stąd brak ludzi, którzyby mogli stanąć na czele, gdy chodzi o likwidację wieku XIX we Francji. Spokój Paryża w dniu odejścia p. Doumergue'a jest najlepszym dowodem słabości „prawicy" republikańskiej. Skądinąd wiemy, że nie posiada ona ludzi zdolnych do przeprowadzenia przewrotu.

We Francji jest inaczej, niż to było w innych krajach Europy zachodniej, gdzie twórcami nowej ideologji i organizatorami nowych sił byli ludzie, którzy wyszli z „lewicy" społecznej, z ludu, czy z demokracji. We Francji zarówno nowoczesna idea narodowa, jak zorganizowane siły, mogące obalić istniejący stan rzeczy, znalazły się w obozie najbardziej tradycyjnym, w obozie monarchistycznym.

Stwierdzając to, nie chcemy się bawić w przepowiednie. Nie jesteśmy jasnowidzami. Chodzi nam o jedno — o zwrócenie uwagi czytelnika polskiego na obóz monarchistyczny francuski, na tych, co się skupiają w organizacji i koło pisma *„L'Action Française"* i których wodzem jest Charles Maurras.

Pisząc to nazwisko, słyszę głosy powątpiewania i widzę uśmiechy politowania. A jednak, jeśli przeglądam koła, grupy i organizacje, które się już ujawniły po stronie narodowej, to muszę skonstatować, że tylko grupa „nacjonalistów integralnych" Maurrasa ma jasną ideję, ściśle opracowany program i grono ludzi, którzy gotowi są oddać życie za swoją ideję.

Jeśli przebiegać myślą ruchy rewolucyjne dawne i nowe, to zawsze widzimy, że rewolucje nie robiły się same, lecz że robili je ludzie, których można było dostrzedz w okresach przygotowawczych... Długo słyszeliśmy o Mussolinim i o Hitlerze, zanim wysunęli się do pierwszego szeregu. We Francji próżno będziemy poszukiwali przyszłego dyktatora. Niema tam ani warunków dla dyktatury, ani człowieka odpowiedniego. Poszukiwacz tej siły dynamicznej, która ma odsunąć od władzy organizację, trzymającą po dzień dzisiejszy Francję mocno w swem ręku — wolnomularstwo — musi,

niezależnie od swych upodobań i poglądów, zatrzymać wzrok na grupie rojalistycznej.

Wypadki idą szybko. Ich rozwój może przynieść różne niespodzianki i ujawnić nowych ludzi i nowe siły. Byłoby lekkomyślnością udawać proroka i przepowiadać przyszłość. Powtarzamy raz jeszcze, chodzi o rzecz drobną i skromną. Czytelniku, wytężający wzrok w przyszłość, nie usuwaj ze swego pola widzenia Karola Maurrasa i jego zwolenników.

STANISŁAW KOZICKI

JESZCZE O NIEMIECKIEM PRAWIE CHŁOPSKIEM

NAWIĄZUJĘ do mego artykułu z numeru 1-go „Myśli Narodowej" obecnego rocznika. Omawiałem w nim prawo wydane przez hitlerowców, regulujące stosunki dziedziczenia t. zw. chłopskich dworzyszcz dziedzicznych. Dziś chcę czytelników „Myśli" poinformować o dalszych perypetjach omawianego prawa.

Oto okazuje się, że już obecnie zaczynają w Niemczech nieco wątpić o rezultatach reformy, zwłaszcza w dziedzinie populacyjnej. Reforma ta miała, jak już pisałem w swym pierwszym artykule, być receptą na biologiczne wymieranie narodu niemieckiego. Widać jednak z ostrożnych głosów prasy, że dziś w to się już nie bardzo wierzy. Mam z tego powodu pewną satysfakcję osobistą, gdyż w artykule swoim wysuwałem te same zastrzeżenia zaraz po wprowadzeniu niemieckiej ustawy.

Najbardziej ważką sprawą całej instytucji „*Erbhof*'ów" jest zagadnienie uposażenia dzieci, nie dziedziczących majątku. Dziedziczy tam bowiem wedle ustawy tylko jeden spadkobierca. Niemiecka opinja zaczyna sobie zdawać sprawę z tego, że jeśli los dalszego, nie dziedziczącego „*Erbhof*'u" potomstwa nie będzie zabezpieczony, to w konsekwencji wszyscy właściciele „*Erbhof*'ów" stworzą i ustabilizują instytucję systemu dwojga dzieci, jako zabezpieczenie swego potomstwa przed proletaryzacją. W związku z temi wątpliwościami rozwinęła się dyskusja, mająca na celu obmyślenie sposobów zaradzenia złu. Dyskusja ta przeniosła się też na łamy pism nordycznych. W związku z tą dyskują ukazał się w czasopiśmie „*Die Sonne*" w maju b. r. artykuł Hermanna Kuckucka, zatytułowany „*Die Versorgung der weichenden Erben-Ein Vorschlag zum Reichserbhofgesetz*", zajmujący się tą sprawą.

Jest on odpowiedzią na artykuł dr. Hasso Härlen'a, opublikowany w czasopiśmie „*Nation im Aufbau*". Härlen w artykule swoim wysuwa projekt ubezpieczenia na życie dla nie dziedziczącego potomstwa z dziedzicznych dworzyszcz. Kuckuck słusznie uważa cały pomysł za prowadzący do wręcz przeciwnego wyniku w dziedzinie populacyjnej, aniżeli zamierzone powiększenie niemieckiego przyrostu naturalnego. Ubezpieczenie to obciążałoby jedynie rodziny o większej ilości potomstwa i byłoby właściwie ukrytą premją dla rodzin bezdzietnych. Stąd chłopi staraliby się uwolnić od tego ciężaru w bardzo prosty sposób: nie rodziliby dzieci.

Kuckuck natomiast wysuwa inny projekt załatwienia tej sprawy. Proponuje on mianowicie, ażeby takie samo ubezpieczenie składali nietylko chłopi, obarczeni rodziną, ale także bezdzietni. Należy, według niego, stworzyć specjalny zakład państwowy, mający na celu zabezpieczenie dzieci nie dziedziczących. Zakład ten zbierałby osobny fundusz na wywianowanie tych dzieci. Fundusz pochodziłby ze specjalnej daniny, do której byłyby obowiązane wszystkie „*Erbhof*'y", których jest dziś około pół miljona. Autor liczy przeciętnie po czworo dzieci na osadę. Jedno z nich otrzyma spadek, inne wyjdzie za sąsiada. Pozostaje więc dwoje dzieci do zaopatrzenia. Proponuje zatem, by synowi, ustępującemu z majątku, dać 10.000 mk., a na dwie hypotetyczne córki przeznacza po 2.500 mk. Ażeby w ciągu trzydziestu lat zebrać kapitał 15.000 mk., na to trzebaby obciążyć każde gospodarstwo dwiema markami daniny od morgi gruntu. Autor przypuszcza, że obciążenie to nie będzie zbyt duże i że chłopi je wytrzymają. Jest przytem takim optymistą, iż przewiduje, że chłopi wtedy będą zwiększać swoje potomstwo poprostu na wyścigi, ażeby tylko możliwie wiele wyciągnąć dla swoich dzieci z ogólnego funduszu zaopatrzenia dzieci nie dziedziczących. Ten wyścig urodzin może być tak wielki, że fundusz, gromadzony na ten cel, okaże się za mały. Ale o to niech się już troszczy państwo. Państwo narodowo-socjalistyczne okaże się, według autora, na wysokości zadania i znajdzie fundusze na wywianowanie i zaopatrzenie i tych dzieci, które nie dostaną swej należności od opisanego powyżej funduszu.

Tyle nordyczny projektodawca. Ja jednak myślę, że ten etatystyczny projekt nie rozwiąże kwestji. Pomijam tu fakt, czy chłop niemiecki będzie mógł zapłacić owe dwie marki od morga. Sądząc z dzisiejszego stanu rolnictwa, przypuszczam, że będzie to dość trudne. Ważniejsza jest jednak inna strona funduszu populacyjnego. Oto, jak każdy fundusz, nie jest on pewny. Wystarczy choćby lekka dewaluacja, aby z marek porobiły się dziesiętne fenigów. Jednem zdaniem, taki fundusz ma to do siebie, że może chłopa, jak to się mówi w Polsce, „nabrać na fundusz", Oczywiście, nie można być tak naiwnym, aby przypuszczać, że chłop tego wszystkiego nie zrozumie. Jeżeli nawet sam do odpowiedniego zrozumienia nie dojdzie, znajdą się zapewne tacy, którzy mu wytłumaczą ciemne strony funduszu. Nie wydaje mi się tedy, aby proponowane rozwiązanie było dobre.

KAROL STOJANOWSKI

RAPSODJE SŁOWACKIEGO O BOLESŁAWIE CHROBRYM

(Dokończenie)

PODBOJE Chrobrego, będące jakby odtworzeniem podbojów Aleksandra Wielkiego (czy nie odbicie Kadłubkowych baśni o wojnach Polaków z tym władcą macedońskim?), jego triumfalny wjazd do Kijowa, słupy przezeń bite w nurtach czterech rzek — to tylko jedno oblicze „Chrobrego figury straszliwej". Zachowane są jednak odmiany tekstu, w których poznajemy i odwrotną stronę medalu. Mam na myśli te właśnie fragmenty „Króla-Ducha", które Kleiner łączył w rapsod, czy pieśń o Bolesławie Chrobrym. O fragmentach tych pisze Pawlikowski („Kr.-D." II, 379): „Te trzy odmiany różnią się zasadniczo od innych odmian, których przedmiotem są dzieje Chrobrego, — w tamtych głównym motywem było bicie słupów w Dnieprze, rusałki, posąg Peruna, tutaj ten motyw jest zupełnie pominięty, a mowa jest o buncie pogaństwa pod wodzą Ody".

Ale (co zauważa i Kleiner) fragmenty te różnią się od tamtych nietylko swą treścią, ale i samą charakterystyką Chrobrego. Dotąd widzieliśmy tego króla ze strony dodatniej, jako jasnego bohatera, zwycięzcę, mocarza; porównywał go poeta nawet z aniołem skrzydlatym, jakby idąc za tradycją dawnych kronikarzy. Na czyny swego syna w olśnieniu spoglądał z zaświatów Mieczysław. Natomiast nad „epizodem Ody" istotnie zdaje się unosić — jak mówi Kleiner — „tchnienie rapsodu o Popielu". Krwawe to bowiem są dzieje, tak krwawe, że w nich „król żelazny... wydał się czerwony", „rozdzielający dwa narody" bratnie, mimo że dzieło najkrwawsze, oślepienie Śwityna i Milutyna, było przecie własnym, dobrowolnym czynem tych dwu ludzi. Główną winowajczynię buntu, Odę, skazał król tylko na wygnanie, mimo to jednak wydaje się nam, wskutek narzuconej przez poetę suggestji, sędzią niesprawiedliwym i okrutnikiem.

Postać Śwityna, jako uczestnika i jednego z podżegaczy buntu pogan przeciw Chrobremu, jest oczywiście tworem fantazji Słowackiego. W historji odpowiadać Świtynowi może conajwyżej Masław, który wywołał reakcję pogaństwa za Mieszka Gnuśnego (*nb.* o Mieczysławie II napomyka Słowacki przez usta aniołów-karcicieli w wersji „rapsodu o Chrobrym") — może zresztą Słowacki czytał gdzieś lub zasłyszał zapisane u niektórych heraldyków podanie o powstaniu pogan przeciw Mieczysławowi I, czy Bolesławowi Chrobremu i o ich warownym oporze w ostępach gór Świętokrzyskich. Natomiast imię Śwityna nie jest całkowicie zmyślone. U Naruszewicza czytał Słowacki o Śnietynie, który istotnie podżegał i uzbrajał wrogów Bolesława — nie pogan jednakże, tylko Jarosława po jego ucieczce z pod Kijowa.

Skąd wziął Słowacki postać Ody? Imię jej i postać niezupełnie są fantastyczne. Dwie kobiety tego imienia wspomniane są w kronikach w związku z dziejami Bolesława. Jedną z nich była macocha Bolesława, która istotnie przeciwko niemu bunt wznieciła, ujmując się za swymi synami, pozbawionymi tronu przez pasierba. Drugą zaś była ostatnia żona Bolesława, córka margrafa Miśni, którą Ditmar prawdziwą jędzą nazywa i rozpustnicą godną takiego „pijaka i obwiesia", jakim, wedle tego kronikarza, był władca polski. Ale najwięcej może zawdzięcza Słowacki powiastce Goszczyńskiego „Oda, powieść z czasów Bolesława Chrobrego" (S. Goszcz., „Dzieła", wyd. Z. Wasilewskiego, t. II, s. 351). Reakcja pogaństwa wszczęła się dopiero po śmierci Bolesława, za Mieszka II. Goszczyński przeniósł ją w czasy Bolesława i związał z imieniem Ody. Słowacki chętnie pomysł ten podchwycił, zwłaszcza, że jemu — tak wrażliwemu na stronę „etymologiczną" nazwisk — imię Ody podsuwało pewne skojarzenia z... pieśnią. Przypomnijmy sobie, że królowi-poecie, Dawidowi-Mieczysławowi, który przyszedł na świat „z królewską razem dolą i Homera", śpiewała „tajemnicze runny" nad kołyską jego piastunka, „cieman śpiewaczka", „widunka", kapłanka wzięta z „Arkone", a zatem wyrazicielka idei poganizmu... Była nią Oda, ta sama, która odprawiła postrzyżyny Mieczysława. W „rapsodzie o Chrobrym" Oda również jest wcieleniem pieśni, pieśni gminnej, wygnanej przez chrześcijaństwo:

„Muzyka jakaś śpiewała wygnance"¹).

Uderzającym szczegółem jest to, że wygnana Oda-poganka idzie — na Litwę. To wiązanie Perunowej Litwy z czasami Bolesława — prawda, że w innym sensie — nie było nowością: spotkać je można było już w „Bolesławie Chrobrym" Tymona Zaborowskiego. Czy Słowacki znał ten poemat swego starszego rodaka - krzemieńczanina? Nie twierdzę napewno, ale nie wydaje mi się to czemś niemożliwem. Jest bowiem podobieństwo w niektórych motywach. Pominę już to, że Słowacki również wprowadza walkę z mocami piekła — motyw to bowiem dawniej spotykany, a zresztą tym razem zgoła odmiennie ujęty. Bardziej zastanawiającemi są słowa o Szczerbcu:

„Miecz, przez pastuszków w łąkach znaleziony".

Przypomnijmy sobie, że i Zaborowski mówi o poszukiwaniu miecza Bolesławowego (motyw zresztą, jak wiemy, aktualny od czasu okradzenia skarbca wawelskiego przez Prusaków) i że znalezienie tego miecza ma się stać zasługą — prostaczka.

Motyw Szczerbca jeszcze kilkakrotnie powraca u Słowackiego. Godne uwagi jest to, że raz ujęty jest w formie wersji, przekazanej przez Galla, gdzie mowa o wyszczerbieniu nie miecza, lecz b r a m y. Gdzieindziej jednak miecz ten nazwany jest „Szczerbatem u boku żelazem, na którem była wiekopomna skaza".

Ten szczerbiec jest symbolem dzielności i siły. Oto skarży się Bolesław Śmiały:

„Na ostrzach mego czarnego bułatu
szczerba zarosła się... i duch mój spadał"...

---

¹) Pawlikowski (t. I str. 509) mylnie drukuje: w y g n a ń c e.

Walka złego z dobrem, o której wspomnieliśmy powyżej, tak jest określona przez Słowackiego w widzeniach pośmiertnych Mieczysława, następujących tuż po „królewskiej sielance" jego własnych wspomnień:

„Już mu dusz ciągle strasznych przybywało
i szły... i wkoło ciał tak jako pszczoły
brzęczały... kłócąc się o marne ciało,
małe — nieszczęsne — brzęczące anioły.
Już ja sam, bojem upojon, o mało
żem się nie rzucił na świata padoły,
popierać sprawę jeszcze nie gotową,
gdym ujrzał — w jaśni Pańskie Ciało — Słowo".

Rządy zatem Chrobrego mają być rządami ciała. Słowo ma się w nich stać ciałem. Stwierdza to sam Chrobry w przepysznej przemowie czy rachunku sumienia, wypowiedzianym wobec duchów, karcących go, że nie przyjął „ducha" w swoją „formę":

„To uczyniłem, co duch — gdy przez ptaki
w ranek stworzenia ziemię oblatywał.
Znam, w puszczach, które na Ruś idą szlaki:
fortecem pobrał — morza ponazywał.
Dwa razy mi pierś deptały rumaki,
raz żubr na rogi złociste porywał,
dzik deptał... dniami zaszczepione memi
rycerstwo... wrosło głęboko do ziemi.
Ziemię orężem wziętą pokrajałem,
jak matka kraje chleb i dzieciom dzieli.
Kto miecz miał — urznął — ten odszedł z kawałem
ci, którzy zginąć nie śmieją — nie wzięli.
Świat to, gdzie ciało panuje nad ciałem,
a w niebie rządzą dopiero anieli, —
tu świat..."

Rządy Chrobrego są zatem rządami miecza, ciała i materjalnej potęgi. W tem wszystkiem zdaje się leżeć jakaś głębsza wina, której jednak król nie chce uznać, broniąc się argumentem walk pod Kijowem i zatopieniem słupów w nurtach. Sprawa cała — z powodu fragmentaryczności tekstu — jest zresztą „ciemna i zawiła", jak słusznie stwierdza Pawlikowski; jest w niej „jakby jakaś sympatja dla buntu, a potępienie Bolesława; Chrobry przedstawiany jest jako człowiek miecza, pozbawiony wyższych duchowych natchnień". Niezrozumiałą wydaje się Pawlikowskiemu treść poselstwa aniołów — ów rachunek sumienia Chrobrego; — powyższy sąd o Chrobrym jest, jego zdaniem, sprzeczny całkowicie z misją, wyznaczoną Bolesławowi w Rapsodzie IV-ym. Sądzę, że pewne sprzeczności możnaby jednak uzgodnić. W odmianie 177, która rzekomo odbiega od powyższego sądu (tak samo w tekście głównym rapsodu V, p. 1), istotnie, jak wspomnieliśmy, Mieczysław zachwyca się olśniewającemi, aleksandrowemi czy achillesowemi czynami Aleksandra, a jednak posłuchajmy, co mówi o tem ze swego „królowoduchowego" stanowiska:

„Nie moja rzecz jest tą pieśnią brać kraje
ani się chełpić z tych żelaznych kroków;
jak zegar, który szedł dawniej — a staje
na nic domowi...
podobnie i z tą ruchomością świata, —
nic ten nie znaczy Bogu, kto nie lata".

Nie leciał więc duchem Bolesław; cielesnym, materjalnym przedewszystkiem służył sprawom, choć powołany był do misji duchowej. Nie bez powodu porównywany jest do Saula, króla izraelskiego; ten podobnie zaprzepaścił swą misję, podbiwszy ościenne kraje, upojony triumfem i potęgą przeniósł cele ziemskie nad sprawę Bożą — „i odrzucił go Pan", jak powiada Pismo święte (Samuel, 15, 23 — 33). Podobnie mówi Słowacki o Chrobrym po zdobyciu Kijowa:

„Tam go opuścił duch. Zakończył boje.
Uczuł, że tarcza ciąży — skrzydła gniotą,
a sława, z twardej uzyskała siły,
do mogił idzie — lecz nie za mogiły".

Czemu w Kijowie to się dokonało? Zdaje się to mieć jakiś związek z owym bogiem pogańskim „bogu bremiszczem", który był zatopiony w Dnieprze przez Włodzimierza, a teraz został przydeptany „żelazną nogą polską", znalazł się w jednym rzędzie ze słupami, wbitemi przez Chrobrego w dno rzeki. Królewski duch Mieczysława sam powiada, że czuł jakby litość dla tego pogańskiego bożka. Kto wie, czy i pogański bunt Ody nie ma jakiego związku z tem bożyszczem? Gubimy się w domysłach — bo tekst jest poprzerywany, same warjanty nieraz do kilku miejsc mogą się odnosić — słowem, mamy do czynienia z pieśnią niewykończoną, a nawet nieskrystalizowaną ostatecznie. Stwierdzić tylko można, że owo widzenie, ową rozmowę z aniołami, czyniącemi mu wyrzuty, miał Chrobry po wyjściu z Kijowa i przed samą swą śmiercią:

„Król szedł z Kijowa, gdy go w ćwierci mili
od miasta — tam, gdzie potem zbudowali
Słowianie swoją Skałę... to napadło
z ogniami — jasne i straszne widziadło...
Spadł z konia...
Chrobry już konał... gdy zjaw zobaczyli
z okien panowie, stojący na sali...
i o zjawieniu donieśli królowi".

Słowa ostatnie świadczą, że śmierć Bolesława miała nastąpić w jakimś zamku — może krakowskim, może poznańskim. Ostatecznie Słowacki pomysłu tego zaniechał — i na śmierć króla rzucił zasłonę. Nietylko zresztą na śmierć, bo i na życie Chrobrego. Zdaje mi się bowiem, że poeta w miarę pisania poematu zwolna odstępował od pierwotnego pomysłu czy zamiaru, t. j. opowiadania czynów Chrobrego przez usta Mieczysława, bawiącego w zaświatach, — a natomiast coraz silniej utwierdzał się w projekcie, by całe dzieje polskiego „Macedończyka", przyćmione nieco baśnią i niedokładną tradycją, przenieść do opowieści, snutej przez Bolesława Smiałego. W tej ostatniej bowiem opowieści — co stwierdzić nietrudno — mamy całe zwrotki niemal dosłownie powtórzone z relacji Mieczysława; miałże-by Słowacki tak rozwlekać rapsod, by w nim opowiadać rzecz tę samą dwa razy? Byłoby to już zanadto — homeryckie!

W każdym razie działalność Bolesława Śmiałego — jakeśmy już mieli sposobność zaznaczyć — wiąże się ściśle z działalnością pradziada. Łączy się nietylko podobieństwem faktów („Łamiąc i bijąc szedłem do Kijowa, na Bugu — jak mój dziad toczyłem boje"), ale i ideą, misją i przeznaczeniem:

„Bóg gadał z myślą zwichrzoną królewską
i w jednym łączył oba Bolesławy,
cudownym mi to pokazując głosem,
że mój duch — ludu jest duchem i losem.
...I straszna jakaś ta czystość związkowa
rosła i wszystko trzymała jak w snopie —
tak, że ja, straszna wtenczas ludu głowa,
mogłem być nawet obrażony w chłopie!
A ze mnie też szła dusza narodowa
i w dziada mego stawała okopie;
a ten szeroki dziad miał wtenczas skrzynię
na Elbie, Sali i Dnieprze i Dźwinie".

Na tem się kończy wątek Chrobrowski w poezji Słowackiego. Wątek to niezupełny, poszarpany, niezawsze zrozumiały, miejscami może nawet sprzeczny; tu i owdzie trafiają się pomysły niedo

ciągnięte, przez poetę przekreślone lub przerwane, trafiają się — jak to u Słowackiego bywa — przekształcenia, warjacje niejako ideowe czy muzyczne, pomysłów lub faktów, przejętych od innych poetów. Mimo wszystko, powieść o Chrobrym, w „Królu-Duchu" zawarta, jest potężna i imponująca, a w niektórych fragmentach — jak w epizodzie walki z Pieczyngiem — staje na jednem z naczelnych miejsc naszej poezji.

Zostaje nam tylko odpowiedzieć krótko na potrąconą powyżej kwestję: czy — i o ile — Słowacki w wątku Chrobrowskim liczył się z prawdą dziejową. Niewątpliwie przygotowany był do pracy „źródłowo" — wskazywaliśmy na to, że znał „Historję" Naruszewicza; skądinąd wiadomo, że rozczytywał się w Karamzinie, nietrudno byłoby znaleźć szczegóły, przejęte od Lelewela; nie mówię już o tem, ile zawdzięczał prelekcjom Mickiewicza, mówiącym o starożytnościach słowiańskich. Mimo to o zbytnią zgodność z historją nie dbał — czasami jakby umyślnie odbiegał od tradycji i fakty przeinaczał. Wspomnę dla przykładu, że według Słowackiego święty Wojciech ponosi śmierć nie za czasów Chrobrego, lecz za Mieczysława, co zresztą pozostaje w pewnej sprzeczności z faktem, że jakoby do czasów Bolesławowskich odniesione zostało powstanie pieśni „Bogurodzica", przypisywanej św. Wojciechowi. Pieśń tę we wspaniałej parafrazie zamieścił Słowacki w jednym z fragmentów „Króla-Ducha". Była to już druga parafraza „Bogurodzicy" przezeń dokonana; pierwszą dał jeszcze w młodych swoich latach, w hymnie powstańczym z r. 1830.

Najmniej liczył się z prawdą dziejową, gdy szło o „rok tysiącowy" i o stosunek cesarza Ottona do Polski. Przeniósł oba te fakty w czasy... Wodana, Ziemowita i „Rze-pychy". Trudno wyjaśnić ten anachronizm. Mogło tu oddziałać pomieszanie Ottona III (Greka raczej, niż Niemca, a Polsce wyjątkowo przychylnego) z dziadem Ottonem I. Może też działały i plotki niechętnych Ottonowi III kronikarzy niemieckich, którzy tak jego, jak i jego doradcę, genjalnego Francuza, Gerberta (późniejszego Sylwestra II papieża) pomawiali o praktyki czarnoksięskie i zaprzedanie duszy djabłu. Świadczyć się o tem zdaje to, że praktyki takie opisane są właśnie w „Królu-Duchu" (Rp. III, pieśń II) i odbywają się na górze Zober (zwanej w odmianach też Zauber), oczywiście górze czarów — Zauberberg. Tam właśnie Otto III — cesarz Romy — snuł rzekomo plany narzucenia pogańskiego władztwa Wodana Słowiańszczyźnie.

JÓZEF BIRKENMAJER

PARYŻ

W tych dniach wyjdzie z pod prasy, nakładem Polskiej Akademji Umiejętności niezmiernie interesujące, pełne nowych odkryć studjum prof. Władysława Folkierskiego p. t. „Od Chateaubrianda do Anhellego", dotyczące związków między przedmistycznym okresem Słowackiego a romantyzmem francuskim. Dzięki uprzejmości autora, zyskaliśmy prawo ogłoszenia zawczasu drugiego rozdziału p. t. „Paryż" i z tego prawa skwapliwie korzystamy. — Red.

WŚRÓD młodzieńczych utworów Słowackiego, napisanych w ciągu roku 1832, znajdują się, jak wiadomo, dość zagadkowe strofy, poświęcone medytacji nad Paryżem. Strofy te są tem ciekawsze, że jakgdyby ich rzut równoległy zachował się we fragmencie tekstu francuskiego, z którego zresztą poeta był i dumny i zadowolony[1]). Analizy „P a r y ż a" nie warto tu podawać, skoro tylokrotnie już się nią zajmowały monografje poecie poświęcone. Wystarczy przypomnieć, że stylem uroczystym wygłasza on jakby przepowiednię kary za zbrodnie, która spadnie na miasto pod postacią oblężenia i zniszczenia z wrogich dział, co może wyglądać na przepowiednię lat 1870—71!

Zródła utworu pozostały dotąd niewyjaśnione. Ze względu na oglądanie Paryża z cmentarza na górze, zbliżono utwór wierszowany do listu, w którym poeta opisuje swe wrażenia z Père Lachaise. Pozatem prof. Ujejski, zwiedziony strofą 9-wierszową, zapożyczoną z „Childe Harolda" śmiało twierdzi, że całość mogłaby się w tym poemacie znaleźć, tak do niego w tonie i natchnieniu jest zbliżona[2])...

W rzeczywistości przewodnikiem Słowackiego był tu kto inny, Alfred de Vigny, który w roku 1831[3]) wydał *élévation*, zatytułowaną „*Paris*"[4]).

Sprawiedliwość przyznać nakazuje, że poemat francuski, aczkolwiek poroniony, wykazywał znacznie głębszy punkt widzenia i dramatyczniejszy problem. W formie wizji Paryża, utrzymanej w nieco apokaliptycznym stylu, wytaczał poeta francuski proces całej współczesnej cywilizacji i groził jej zagładą pod postacią możliwości zagłady Paryża. Już w tym gwałtownym skrócie, jaki tu podaję, widać wspólne podłoże z poematem polskim.

W jednym i w drugim wizja pozostaje w związku z widokiem miasta, oglądanym zwysoka, z cmentarza na górze u Słowackiego, z wieży u Vigny'ego. Przyczem u francuskiego poety poemat przybiera kształt rozmowy z podróżnym, a u Słowackiego kształt apostrofy samego poety, zaczynającej się jednak podobnie:

„*Prends ma main, Voyageur, et montons sur la tour.*
R e g a r d e tout en bas, et regarde à l'entour."

„P a t r z! przy zachodzie, jak z Sekwany łona"...

W obu poematach wizję przyszłości poprzedza widok teraźniejszości, rozumianej jako krajobraz miasta-olbrzyma:

[1]) Por. listy do matki z tegoż roku 1832. — Trzeba się tu mocno zastrzec przeciw jakiemukolwiek entuzjazmowi w traktowaniu bardzo słabych aleksandrynów Słowackiego. Kleiner tu stanowczo przesadza: „wiersz o Paryżu okazywał niemałe opanowanie techniki" (I, 155). Cóż z tego, że znachodzą się tam *enjambements*, kiedy znachodzą się i niezgrabności językowe, nie mówiąc już o zasadniczej niewyczuwaniu rytmu języka i wiersza.

[2]) Ossol. II, 29.— Już Kleiner (I, 156) nazwał ten utwór „niby fragmentem podróżniczych refleksyj Childe Harolda".

[3]) „*Journal de la Librairie*" wzmiankuje tę broszurę już 16 kwietnia. Rękopis nosi datę 6 stycznia.

[4]) *Paris, Elévation, par M. le Comte de Vigny, auteur de Cinq-Mars, d'Eloa etc. Paris, Charles Gosselin, 1831 in 8°, 27 p.*

Je vois ces a n g l e s noirs et luisants qui, dans l'ombre,
L'u n s u r l'a u t r e e n t a s s é s, sans ordre ni sans
[nombre
Coupent des murs b l a n c h i s pareils à des tombeaux".

co wcale wiernie odnajdujemy w tekście polskim:

„Patrz! przy zachodzie, jak z Sekwany łona
Powstają gmachy p o ł a m a n y m składem[1]),
J a k j e d n e d r u g i m w c h o d z ą n a r a m i o n a,
Gdzieniegdzie ulic p r z e ś w i e t l o n e śladem[2])".

W ten chaos z kamienia, który jest formą, wprowadzają obaj wizjonerzy jednakże zupełnie co innego. Vigny widzi tam drugi chaos, myśl ludzką, która szuka niezmordowanie wyjścia z błędnego tego koła. Wspomina o trzech grupach, może o klerykałach Lamennais'go, liberałach Benjamin Constanta i saint-simonistach. Nie wie, czy w tych poszukiwaniach niema zła, ale wie, że jest piękno:

„Paris! principe et fin! Paris! ombre et flambeau!...
Je ne sais si c'est mal, tout cela; mais c'est beau"...

Zupełnie odmiennie i zgodnie ze swą znaną nam niechęcią do Paryża Słowacki widzi w tym mglistym kolosie tylko stek zbrodni:

„Nowa Sodomo! pośród twych kamieni
Mnoży się zbrodnia bezwstydna widomie...

Zbrodnie te powiększyła rewolucja, która zastępuje tu owe nurtujące społeczeństwo prądy, zauważone przez Vigny'ego:

„Kiedy tu ludzie zbytkiem życia wściekli,
. . . .
Co kiedy śmieli pomyśleć — wyrzekli".

Wreszcie, jako ostatnie ogniwo łańcucha win:

„Tu dzisiaj Polak błąka się wygnany,
W nędzy — i brat już nie pomaga bratu.
Wierzby płaczące na brzegach Sekwany
Smutne są dla nas, jak wierzby Eufratu.
I całej nędzy nie wyjawią światu...
Twarze z marmuru, — serca marmurowe,
Drzewo nadziei bez liścia i kwiatu
Schnie, gdy wygnaniec złożył pod niem głowę..."

Za to wszystko spadnie kiedyś apokaliptyczna klęska na miasto, klęska tu będzie karą, gdy u Vigny'ego była tylko tragedją.

Oto jak ją widział autor Elei. Klęska Paryża może przedewszystkiem być tylko symbolem olbrzymiego przewrotu, który będzie zwiastował nową erę: tę przyszłość, wykuwającą się obecnie w twórczych mrokach Paryża!

„Mais c'est grand! mais on sent jusqu'au fond de son
[âme
Qu'un monde tout nouveau se forge à cette flamme
Ou Soleil ou Comète, on sent bien qu'il sera...
. . . .
Mais que peut-être aussi, brûlant, pareil au glaive
Dont le feu dessécha les pleurs dans les yeux d'Eve,
Il ira labourant le Globe comme un champ,
Et semant la douleur du levant au couchant:
Rasant l'oeuvre de l'homme et des temps comme l'herbe
Dont un vaste incendie emporte chaque gerbe,
En laissant le désert, qui suit son large cours
Comme un géant vainqueur, s'étendre pour toujours".

Cóż dziwnego, że królowie i narody świata będą przerażeni tym darem Paryża:

...„Rois et Nations, se jetant à genoux,
Aux rochers ébranlés crieront: Ecrasez-nous!
Car voilà que Paris encore nous envole
Une perdition qui brise notre voie!"

To bierne zachowanie się mocarzy świata Słowacki zastąpi wojną i oblężeniem.

Bądźjakbądź i u Vigny'ego zawisła groza zagłady nad miastem. Oto co widzi podróżny:

„Et je chancelle encore, n'osant plus, sur la terre,
Contempler votre ville et son double mystère.
Mais je crains bien pour elle et pour vous, car voilà
Quelque chose de noir, de lourd, de vaste, là,
Au plus haut point du ciel, où ne sauraient atteindre
Les feux dont l'horizon ne cesse de se teindre;
Et je crois entrevoir ce rocher ténébreux".

I teraz nie wojnę, ale biblijną zagładę stosuje Vigny do Paryża:

„Lorsqu'une meule énorme", ont-ils dit...—Il me semble
La voir — „...apparaîtra sur la cité..." — Je tremble
Que ce ne soit Paris — „...dont les enfants auront
Effacé Jésus-Christ du coeur comme du front..." —
Vous l'avez fait — „...alors que la ville enivrée
D'elle-même, au plaisir du sang sera livrée..."
Qu'en pensez-vous? — „...alors l'Ange la rayera
Du monde, et le Rocher du ciel l'écrasera".

Te apokaliptyczne obrazy Słowacki wolał zastąpić wizją oblężenia, wojny i bombardowania:

„I kiedyś na cię spadnie deszcz płomieni,
L e c z n i e d e s z c z B o ż y, n i e z a m k n i ę t y
[w g r o m i e,
Sto dział go poszle... A na każdym domie
Kula wyryje straszny wyrok Boga;
Kula te mury przepali, przełomie
I wielka na cię spadnie kiedyś trwoga,
I większa jeszcze rozpacz, — bo to kula wroga..."

Wyglądają te słowa podkreślone nieledwo jak s p r o s t o w a n i e pod adresem francuskiego poety: nie z nieba spadnie zagłada na Paryż, ale z dział wroga!

Miast Sodomy i Gomory raczej obraz — zdobytej niedawno Warszawy:

„I już nad miastem wisi ta dział chmura,
Dlatego ludu zasępione tłumy,
Dlatego ciemność ulic tak ponura,
Przeczuciem nieszczęść zbłąkane rozumy;
Bez echa kona słowo próżnej dumy,
O wrogach ciągle toczą się rozmowy...
A straż ich przednia, już północne dżumy
Obrońców ludu pozwiewały głowy,
I po ulicach ciągle brzmi dzwon pogrzebowy".

Horoskop Słowackiego wypadł dla Paryża bezapelacyjnie ponuro. Inaczej u Vigny'ego, rozmiłowanego w swem mieście. Na apokaliptyczne słowa podróżnego odpowiada poeta słowami optymizmu: Paryż jest niezniszczalny, jako ukochana przez Boga siedziba ideału:

„Si la force divine
Est en ceux dont l'esprit sent, prévoit et devine,
Elle est ici. — Le Ciel la révère. Et sur nous
L'Ange exterminateur frapperait à genoux,
Et sa main, à la fois flamboyante et timide,
Tremblerait de commettre un second déicide".

Co jest ni mniej, ni więcej, tylko wręcz akcentem p a r y s k i e g o — a już nawet nie francuskiego — mesjanizmu!

Gdyby już zaś — boć i to możliwe — doszło do takiego nieszczęścia, konkluduje Vigny, byłaby to katastrofa dla całego świata:

---

[1]) Z tego „połamania" uczynił de Vigny zasadniczą cechę, oddzielającą dzieło ręki człowieka od natury:

„Mais partout la main d'homme, et l'angle que sa main
Impose à la matière en tout travail humain".

[2]) To „prześwietlone" odpowiada *„blanchis"* francuskiemu, choć „ulicom" nie odpowiadają „murs": najważniejsza dla oka z góry patrzącego jest tu jednak przydawka, wyrażająca jasne plamy, przerywające ciemne tło kamiennego gąszczu.

Kleiner tak ocenia ten opis: „Otwiera go obraz nie ze wspomnień, literatury czy fantazji budowany, ale widziany— i widziany z całą ostrą wyrazistością konturów, z nowem u poety, silnem poczuciem linji" (156). Nie, wręcz przeciwnie, to poczucie linji i konturu szło w tym wypadku wyraźnie z literatury...

— *„Ensuite, Voyageur, tu quitteras l'enceinte,*
Tu jetteras au vent cette poussière éteinte,
Puis, levant seul ta voix dans le désert sans bruit,
Tu crieras[1]*): „Pour longtemps le monde*
[est dans la nuit".

Te to właśnie słowa końcowe musiały do żywego oburzyć tak dla Paryża niechętnie usposobionego Słowackiego. Ten sprzeciw wewnętrzny stał mu się skolei pobudką twórczą dla przeciwstawienia swojej innej koncepcji pomysłowi francuskiego entuzjasty Paryża. Opis i wizja zgodziły się mniejwięcej u obu pisarzy, a tylko djagnoza odrębna wpłynęła na innogatunkową, choć podobną w postaci karę.

[1]) Dziwnym zbiegiem okoliczności historycznych, po klęsce roku 1870, na pierwszą wiadomość o Sedanie, Adam Potocki krzyknął: „Zimno teraz będzie w Europie!".

Uderzyć przytem musi fakt, że z bogatej ideologji historjozoficznej de Vigny'ego nie przedostało się do polskiej parafrazy nic — poza ramami ponurej fantastyki.

Powiada w swoim komentarzu do wydania krytycznego dzieł Vigny'ego prof. Baldensperger o tej *élévation*, Paryżowi poświęconej przez autora Eloi, iż jest w rodzaju mesjanistów polskich. Nie— tym razem może zbytek gorliwości zachodzi w tem zbliżaniu Vigny'ego do wątków polskich. W r. 1831 jest na ten mesjanizm emigracyjny nad brzegami Sekwany za wcześnie! Niema jeszcze ani Towiańskiego, ani „Ksiąg pielgrzymstwa".

Zachodzi natomiast pewność wpływu Vigny'ego na jednego z późniejszych mesjanistów polskich.

WŁADYSŁAW FOLKIERSKI

RODZINA i PAŃSTWO

DZIWNA rzecz, że ludzie jakby zapomnieli, na czem polega znaczenie instytucyj; i to w tym samym momencie, gdy tworzą mnóstwo nowych instytucyj, które nigdy nie miały takiego oparcia w opinji, ani autorytetu moralnego, jak stare. Biurokracja ciągle rozszczepia się na coraz to nowe „resorty", nie mówiąc nam nawet, czego mają one być częściami. Nietylko jest coraz to więcej biurokratów, ale i coraz to więcej biur. Co tydzień, czy co parę dni jakieś nowe prawo, o którem śmy nigdy nie słyszeli, daje jakieś nowe kompetencje komuś, o kim nikt nigdy nie słyszał. Pełnomocnictwa nie żądane z dołu, tylko udzielane z góry, pokrywają naród jakby siecią, ciasną i cienką, jak drutem. A przecież wśród całej tej urzędowości wydaje się, że ludzie zapomnieli, na czem pierwotnie polegało znaczenie urzędu. Wśród całego tego instytucjonalizmu nie mogą pojąć, co idzie w parze z samą istotą instytucji. Widzimy to z zadziwiającą wyrazistością w dysputach nad instytucją małżeństwa; albo nad rodziną, która jest nietylko instytucją, ale podstawą, fundamentem wszystkich prawie instytucyj.

Wszyscy słyszeliśmy ludzi dobrej woli, choć nieco niepewnych, mówiących coś w tym rodzaju: „Oczywiście, my wszyscy czujemy, że jest coś naprawdę świętego w ideale prawdziwego małżeństwa; ale świętość ta płynie z obecności miłości; a kiedy ta zmniejsza się, czy zmienia, czy też przerywa się z jakiejkolwiek racji, niema już wtedy prawdziwego małżeństwa i jego świętość też się rozwiewa". Nikt jednak nie mówi w ten sposób o żadnym innym ideale, wyrażającym się w jakiejkolwiek innej instytucji. Oczywiście, w pewnym sensie twierdzenie jest dość słuszne; ideał bowiem jest czemś więcej, niż instytucja. Jeżeli jednak utożsamia się go z nastrojami i zmianami uczuć, nie może wtedy znaleść wyrazu w żadnej wogóle instytucji. Nawet najnowszy, dziewięćset dziewięćdziesiąty dziewiąty wydział i dodatkowy referat Ministerstwa Ćwiczeń Oddechowych musi być oparty w swem istnieniu na pojęciu, że ktoś ma się czemś zajmować, nawet jeżeli go to nudzi. Nawet Komisja Przymusowego Ubezpieczania Psów, Będących Własnością Bezrobotnych (powołana na mocy ustawy, uchwalonej bez dyskusji przez parlament, przy obecności sześciu posłów), nawet to światłe ciało musi rozróżniać między tymi, którzy są jego członkami, a tymi, którzy nimi nie są i musi dokuczać wszystkim naokoło, nawet jeżeli wszyscy członkowie komisji dokuczyli już sobie dosyć wzajemnie. Ci poważni i uczciwi pracownicy społeczni muszą, mimo wszystko, coś robić; nawet jeżeli równie nie znoszą swego zajęcia, jak my nie znosimy ich widoku. A jeżeli to jest słuszne w zastosowaniu nawet do najmniej doskonałej i najbardziej eksperymentalnej z najmniejszych instytucyj, jest najoczywiściej jeszcze o wiele bardziej słuszne w zastosowaniu do tych innych, elementarnych i podstawowych instytucyj, do których kiedyś zaliczano także i rodzinę. Najjaskrawsze przykłady, to instytucja własności prywatnej i instytucja porządku publicznego, którą my nazywamy rządem państwa. Jeżeli ktoś nie wierzy w instytucję własności prywatnej takiej, jak ją rozumieją starzy kapitaliści, to zwykle wierzy tem mocniej w instytucję, zwaną państwem, taką, jak ją czczą socjaliści i komuniści; albo, jeżeli już o to chodzi, faszyści, czy hitlerowcy. Pod naporem tych dwóch czy trzech prądów tendencyj (jakby to powiedział Mathew Arnold), inna instytucja, zwana rodziną, niemal została zmyta z powierzchni ziemi; ale stało się to głównie dlatego, że była podporządkowana owemu mydłkowatemu sentymencikowi.

Nikomu bowiem się nie śni stosować tego mydłkowatego sentymenciku do żadnej innej instytucji. Nikt nie mówi, że dopóki widok policjanta na rogu ulicy przejmuje go dreszczem takim, jak widok żołnierza, stojącego z szablą w dłoni na straży ojczyzny, dopóty, a nie dłużej, może tolerować policjanta i pozwolić mu regulować ruch; ale jeżeli w jakiejś ponurej i pustej godzinie ochłodnie dla owego policjanta i nie będzie już więcej czuł prądu natchnienia na widok jego butów, jeżeli nawet poczuje nagle, że jego twarz jest mu antypatyczna — wtedy wszystko się skończy między nim, a policjantem; przestanie uznawać jego funkcję w państwie i stanie się filozoficznym anarchistą, a policjant niezrozumiałym tyranem. Nikt tak nie mówi, dla tej oczywistej przyczyny, że rząd państwa nie mógłby nigdy istnieć ani przez 48 godzin, gdyby miał być rozwiązywany pod wpływem jakiejś zmiany uczuć, czy chwilowego zaniku naszego czysto imaginacyjnego uznania dla jego

wartości. To samo jest z równoważną instytucją własności prywatnej. Ostatecznym celem istnienia rządu jest danie nam poczucia bezpieczeństwa; ostatecznym celem własności jest danie nam poczucia godności osobistej; ostatecznym zaś celem małżeństwa jest danie nam poczucia szczęścia, opartego głównie na uczuciu. Żadna z tych rzeczy jednak nie ostawałaby się nigdy, gdyby nie było jakichś zasad wierności i ciągłości, po których możnaby oczekiwać zagłuszenia jakichś wrażeń, czy nastrojów. Lubię moją laskę; lubię też myśleć, że to moja laska; ale nie lubię, jak mi jaki filozof mówi, że laska jest tylko wtedy moja, gdy o niej myślę. Dajmy na to, że jestem czuły na punkcie mych inspektów z ogórkami i dumny z nich (w co nikt, kto mnie zna, nie uwierzy) i że znajduję przejściową, ale dużą przyjemność w tem, że mój sąsiad, pan Robinson, również patrzy na nie z admiracją, chociaż moja admiracja płynie z posiadania, a jego z zazdrości. Naprawdę, nie mogę dać wiary teorji, że moje inspekty przechodzą na własność p. Robinsona w miarę, jak chwile mojej admiracji stają się bardziej przelotne, a jego intensywniejsze, czy częstsze. Nie mogę przyjąć poglądu, że on stopniowo stanie się właścicielem mojego ogrodu, ponieważ nie może sypiać w nocy, myśląc o nim, podczas gdy ja jestem zmuszony myśleć o czem innem, np. o straszliwej konieczności pisania artykułów do pism. Krótko mówiąc, być może, że własność prywatna jest instytucją złą, jak chcą komuniści; być może też, że jest dobrą, jak chcę ja. Ale nie może być wogóle instytucją, jeżeli nie będzie do pewnego stopnia rzeczą stałą, niezależną od fluktuacyj uczuć p. Robinsona i moich.

Rodzina jest jedyną instytucją, nad którą się dyskutuje w ten bezsensowny, sentymentalny sposób i dlatego właśnie rodzina jest jedyną instytucją, która prawie przestała istnieć. Tamte inne instytucje, tamte o wiele bardziej zewnętrzne, nieznośne, nawet tyrańskie, istnieją sobie dalej. A to dlatego, że mają prawa i lojalności, do których należy przezwyciężanie zmiany uczuć. Dwie główne rzeczy, przeważające w świecie współczesnym, to państwo i wielki przemysł, większy jeszcze od państwa. Żadna z tych dwóch rzeczy nie bierze pod uwagę niczyjej zmiany uczuć. Człowiek jest podległy rządowi królewskiemu długo jeszcze po wygaśnięciu owego szczęśliwego momentu, w którym rzeczywiście odczuwał romantyczną lojalność w stosunku do króla. Musi zjawiać się co rano w Zakładach Włókienniczych „Kosmopolis" długo jeszcze po obudzeniu się z krótkiego snu młodzieńczego, ambicji, że pewnego dnia zostanie dyrektorem. Jednem słowem inne instytucje ciągle jeszcze wymagają, i to w bardziej współczesnej, a stąd bardziej ordynarnej formie, czegoś analogicznego, bo starego pojęcia ślubu. Ludzie przynajmniej podpisują zobowiązania do służby „na czas trwania wojny".

Rodzina jest niewątpliwie najswobodniejszą z takich grup i główną podporą swobody. Jest to mała grupka ludzi, w której jednostka się liczy, jak nie może się liczyć w państwie, czy truście. Jest to jedyny rząd ludzki, dopuszczający poczucie humoru; jest to bowiem jedyna forma rządu, która ma osobiście swych poddanych. Jest to również jedyna grupa ludzi, będąca od początku związkiem ochotników. To znaczy, że jej początek leży w dobrowolnem wyznaniu i przyjęciu go; podczas gdy my wszyscy urodziliśmy się jako poddani jakiemuś rządowi; i większość z nas jest obecnie ekonomicznie zmuszona służyć jakiemuś trustowi. Pod każdym względem ta instytucja w porównaniu z innemi jest życiem i wolnością. Nie może jednak przetrwać, jeżeli nie ma lojalności i ciągłości. Tak, jak to obecnie wygląda, zostanie ona pochłonięta przez państwo, albo przez trust, albo też przez oba razem; i większość z jej skromnych, lecz zdrowych przedstawicieli nie będzie nawet wiedziała, co czem się stało.

G. K. CHESTERTON

ŚWIĘTY JACEK

(MODLITWA PODCZAS POWODZI)

Motto: ... I puścił się sam w wodę, wołając na trzech Braci: Florjana, Godyna i Benedykta... Oni gdy się ociągali, zdjąwszy z siebie kapicę Jacek święty rozpostarł ją na wodzie i rzekł: Oto jaki most wam Chrystus czyni! — Wstąpili Bracia, a kapica nie zatonęła...

(Ks. Piotr Skarga: „Żywot św. Jacka Odrowąża")

Gdy rzeki występują z łożysk rozlewiskiem,
A wezbrana nieprawość wiarę nam podmywa,
Gdyśmy wszyscy gotowi rozpaczać o wszystkiem —
Boże, z pomocą przybywaj!

Powódź podczas żniw zboże rozkrada ze szczętem,
Z chat do stodół i obór pływa się tratwami,
Nad pastwiskiem nurt niesie bydło, w topiel wzięte...
Zmiłuj się, Chryste, nad nami!

Kto nie został topielcem, tego głód umorzy,
Potop nędzy po wodnym potopie przychodzi.
Niechaj w niebo bijący ból — niebo otworzy!
Ratuj nas, Boże, z powodzi!

Wzbudź w nas wiarę, a przejdziem topiel suchą nogą,
Jak święty Jacek Wisłę z misją apostolską.
Kto idzie w ślad Chrystusa, klęski go nie zmogą.
Zmiłuj się, Chryste, nad Polską!

STANISŁAW MIŁASZEWSKI

NA WIDOWNI

Obrażony filosemita.—Oburzenie pos. Miedzińskiego.— Praktyczny sposób wyjścia. — Pożytek dla nauki i dla życia.

KTÓREGOŚ dnia, na zebraniu towarzyskiem, filosemita dyskutował z antysemitą na temat zalet plemienia żydowskiego i jego zasług cywilizacyjnych wobec Ludzkości. Rozwodził się nad wszechstronnemi uzdolnieniami żydów, nad olbrzymią, częstokroć kierowniczą rolą, jaką zdobyli sobie w rozmaitych dziedzinach życia, tak w przeszłości, jak i w dobie teraźniejszej. W pewnej chwili antysemita odezwał się odniechcenia:

— „Pan ma tyle sympatji dla żydów, tak wysoko ich ceni... Czy pan przypadkiem nie ma też może paru kropel krwi żydowskiej w swoich żyłach?"...

Filosemita porwał się, pobladły z gniewu:

— „Panie!"... — głos jego drżał i załamywał się z irytacji — „panu wolno różnić się ze mną w poglądach, ale ja... ja... ubliżać sobie nie pozwolę!"...

— — — — — — — — — — — —

Przypomniało mi się to zdarzenie, kiedy czytałem ostatnią mowę sejmową pos. Miedzińskiego, gdzie z oburzeniem największem zaprzeczał twierdzeniom nielegalnej „Nowej Sztafety" o żydowskiem jakoby pochodzeniu niektórych dostojników. Ostatecznie, z punktu widzenia ideologji „państwowościowej", nie było przecież najmniejszego powodu do zdenerwowania: żyd jest i winien być — według niej — równouprawnionym obywatelem, a imię Uszer brzmi w paszporcie niemniej „państwowo", niż np. Leon lub Bogusław... Możnaby mniemać, podobnie jak odpowiedział min. Jędrzejewicz na pytanie, czy Polak czy żyd ma wychowywać dzieci polskie i chrześcijańskie w szkole, że rzecz nie ma bynajmniej znaczenia zasadniczego...

A jednakże, wbrew wszelkim „ideologjom", pos. Miedziński potraktował pomówienie o żydostwo jako „obelgę". Wdzięczny to temat do pouczających rozmyślań dla „sanatorów". Ale tutaj chodzi nietylko o rozważanie sprawy, lecz przedewszystkiem o wyciągnięcie konkretnych, praktycznych wniosków.

Zupełną słuszność ma w zasadzie pos. Miedziński, kiedy oburza się na metody kłamstwa w walce politycznej, łatwo zrozumieć, jak wielką krzywdę musi się wyrządzać człowiekowi, gdy bezzasadnie rozgłasza się o nim wiadomości, dotyczące jego żydowskiej rzekomo parenteli. Znane jest przytem, iż tym systemem posługują się, świadomie i cynicznie, sami żydzi, aby w ten sposób kompromitować głośniejszych antysemitów, odbierać im sympatję i zaufanie wśród społeczeństwa. Właśnie dlatego też nie wydaje się sprawiedliwem i celowem, aby trud wyjaśniania prawdy pozostawiać, w tym wypadku, samym tylko poszkodowanym. Oświadczenia osób zainteresowanych, albo ich politycznych przyjaciół, z natury rzeczy nie mogą być przyjmowane przez opinję z absolutną, całkowicie podejrzeń pozbawioną ufnością. Jedynie orzeczenie jakiejś instancji bezstronnej, oparte na dokumentach urzędowych, mogłoby ostatacznie położyć tamę wszelkim szkodliwym nieporozumieniom i plotkom.

Sądzę, iż najwłaściwsze byłoby stworzenie specjalnej instytucji (coś w rodzaju heroldji w dawnem Królestwie Polskiem, czy „metryki szlacheckiej", zaprowadzonej, po rozbiorach, w Galicji), która w tych sprawach podjęłaby się badania rodowodów i udzielała—na tej podstawie — oficjalnych odpowiedzi. Tylko w ten sposób zakończyłyby się nareszcie, ustawicznie dzisiaj spotykane, gołosłowne całkiem „rewelacje" i tak samo gołosłowne ich zaprzeczenia. Skoro raz weszliśmy—jak to uczynił pos. Miedziński — na drogę udzielania społeczeństwu wyjaśnień, publicznych o pochodzeniu żydowskiem lub nieżydowskiem tych czy innych osób, zależy na tem, ażeby robić to w sposób przekonywający i nie tandetny, usuwający jakiekolwiek podejrzenia i niepewności. Cóż bowiem warte jest zapewnianie o czyjemś np. szlachectwie, skoro wiadomo, że nawet w starych, arystokratycznych rodach niejednokrotnie przecież przydarzały się „małżeństwa mieszane" z żydówkami? Cóż pomogłoby ogłaszanie publiczne, iż ktoś wywodzi się np. „ze środowiska ziemiańskiego", gdy i p. Wittlin mógł niedawno oświadczyć o sobie: „...pochodzę ze sfery, którą nazywają ziemiańską"? [1]).

I tutaj widać inny jeszcze, nie polityczny już pożytek, jaki przyniosłoby powołanie proponowanej wyżej instytucji. W tym samym czasie, gdy na trybunie sejmowej pos. Miedziński omawiał kwestję geneologji niektórych mężów stanu, tygodnik „Pion", w notatce pióra p. K.W.Z. (Zawodzińskiego), karcił literata żydowskiego, p. J. S. Imbera, że zbyt „zachłannie" przyznaje się do pewnych polskich pisarzy, którzy z żydostwem nic zupełnie nie mają wspólnego: „wśród nazwisk frankistów"— przypomina słusznie p. K. W. Z. — „spotyka się nazwiska pozatem należące do najbardziej pospolitych w Polsce: komu nie można wytknąć babki Grabowskiej, Dąbrowskiej lub Majewskiej, a jakże drobna część ludzi tego nazwiska wywodzi się rzeczywiście od frankistów"?...

Zdaje się, iż nie zaszkodzi nigdy społeczeństwu ścisła znajomość faktów, rzetelna wiedza, i że będzie to rzeczywistym krokiem naprzód na drodze postępu, gdy politycy, krytycy literaccy, biografowie i t. d., rozprawiając o czyjemś żydowskiem pochodzeniu, będą opierać się nie na mglistych, ogólnikowych twierdzeniach lub nie niezbyt wiarogodnych pogłoskach, ale na dokładnie sprawdzonym materjale, zabezpieczającym przed możliwą omyłką czy fałszerstwem [2]). Oczywiście, prowadzenie badań takich przerasta siły jednostek prywatnych, Państwo musi przyczynić się przedewszystkiem do wykonania tego kulturalnego dzieła.

Nie potrzeba bowiem być „rasistą", by uznawać fakt notoryczny, że żydzi posiadają pewne, właściwe im cechy fizyczne i psychiczne, — i dru-

---

[1]) „Wiadomości literackie", nr. 45 z dn. 4 listopada b.r.

[2]) Możnaby tu przeciwstawić jeden argument, mianowicie wzgląd na tych ludzi, którzy, mimo domieszki krwi żydowskiej, niewątpliwymi są Polakami i patrjotami. Wiadomo, że, w wypadkach dziedziczności z małżeństw mieszanych, jeden typ zdobywa częstokroć przewagę nad drugim, i te jednostki należy traktować indywidualnie, na podstawie ich przymiotów osobistych. Ale tym ludziom właśnie powinno zależeć przedewszystkiem, by w ich stosunku do społeczeństwa nie było żadnego kłamstwa, żadnych niedomówień, by nie przyjęto ich, przez nieświadomość, do tych środowisk, gdzie bez podstępu możeby się byli nie dostali...

gi fakt, że potomkowie, w mniejszej albo większej mierze, dziedziczą cechy fizyczne i psychiczne swoich przodków. Dostarczenie odpowiednich materjałów, umożliwiających objektywne badania w tej dziedzinie, i to zarówno fenomenów jednostkowych, jak zbiorowych (metodą statystyczną), byłoby niepożytą istotnie zasługą — i wobec nauki i wobec życia.

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

ROCZNICA ZAWIESZENIA BRONI w Paryżu miała tym razem przebieg niezwyczajny. Po tradycyjnem zapaleniu płomienia przy grobie Nieznanego Żołnierza, po minucie powszechnego milczenia na cześć poległych w Wielkiej Wojnie, odbyła się defilada oddziałów garnizonu stołecznego, przyjmowana przez zgromadzone tłumy bardzo serdecznie. Wyjątek stanowiła gwardja republikańska, obdarzona jedynie uśmiechem pełnym ironji. A już samochody, wiozące członków rządu, powitano gromkiem i wyzywającem: „Niech żyje Doumergue!"

Wszystko to było tylko przygrywką do ogromnej rozmiarami i siłą swojego wyrazu manifestacji nacjonalistycznej, która się odbyła tegoż popołudnia. Na widok stutysięcznego pochodu, kroczącego ulicami miasta, powstał niebywały poprostu entuzjazm. Podniesieniem rąk witano maszerujące oddziały *„Croix de Feu"*, *„Jeunesse Patriote"*, *„Action Française"* i „Związku Solidarności Narodowej".

Cały świat, czytając o tem, począł ze zdumienia przecierać oczy. Toż to był przecież widok tak różny od tego, który się nam kojarzy z pojęciem Francji, tak różny od tego, do któregośmy się przyzwyczaili wszyscy! Przyzwyczaili pod wpływem suggestji masońskiej, docierającej do nas codziennie za pomocą dzienników, i to nie tylko francuskich. Przyznajmy, że jest to sposób wcale nie gorszy, a nawet kunsztowniejszy od tego, którego używają dzisiejsze dyktatury, zakazujące poprostu „wywozu" pewnych wiadomości, służące natomiast przez siebie i podległe im organy specjalnie spreparowanemi, propagandowemi komunikatami.

Dlatego też dziwimy się temu wszystkiemu, co się dzieje we Francji, zapominając, że bardziej ją chyba mają prawo reprezentować miljony poległych *poilus*, aniżeli niezbyt często dostojne postacie graczy politycznych z Palais Bourbon. Obserwując codzienne rozgrywki warstwy, wyrosłej w podołku wolnomularskiego fartuszka, zapominamy, że poza nią istnieje naród, wiecznie ten sam, zdrowy i pełen męskiego zdecydowania, którego dowody dawał tak często na przestrzeni stuleci.

NAUKA i LITERATURA

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Wyszła już z pod prasy książka Zygmunta Wasilewskiego pt. „Norwid". Książka ta, obejmująca 248 stronic, zamówiona była przez prenumeratorów i tym jest obecnie rozsyłana. Cena jej w handlu wynosi wraz z kosztami przesyłki zł. 5. Nabywać ją można w Administracji „Myśli Narodowej" (Al. Jerozolimska 17). Konto w P. K. O. Nr. 3.105. Żądać jej należy również w księgarniach.

*

Do redakcyj pism polskich nadsyłają czasem ci i owi autorzy żydowscy książki swoje w egzemplarzach recenzyjnych, drukowane po polsku. Literatura obca, wroga, nienawistna, fanatyczna... a ostatnio coraz cięższej oskarżycielska i bardzo wojownicza. Między innemi nadesłał nam niedawno niejaki p. S. J. Imber książkę swoją p. t. „Asy czystej rasy". Jest-to zbiór rozprawek polemicznych, wymierzonych przeciw niektórym pisarzom polskim, jak oto — K. H. Rostworowskiemu, Nowaczyńskiemu, Rolickiemu, Z. Wasilewskiemu, Rembielińskiemu, z powodu ich stanowisk w sprawie żydowskiej. Książka mętna, krzykliwa, fanatyzmem zacietrzewiona i na sposób żydowski lepka od brudu. Należy przypuszczać, że autorzy w niej zaczepiani i oskarżani zlekceważą ją, co będzie jedyną taktowną i zrównoważoną ich odpowiedzią. W każdym razie nie mamy zamiaru ich tu zastępować, ani książki oceniać. Podobna jest ona do chałaciarza, który tylko co po raz pierwszy w życiu wdział garnitur frakowy, trzyma w ręku chusteczkę i strzela palcami z nosa na dywany komnat literatury. O megalomanji i zarazem rzetelności żydowskiej niechaj zaświadczą następujące z dzieła tego dwa zdania. P. Imber mówi: „Budowa cywilizacji europejskiej opiera się w pierwszym rzędzie i w głównej mierze na pierwiastkach, idących z Judei. Z tej z przed dziewiętnastu wieków i z tej dawniejszej z przed trzech tysięcy lat". (ST. P.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Ostatnią powieść swoją *„Ciel de Feu"* („Ogniste niebo"), poświęcił Leon Daudet sprawie przyszłej wojny, którą nazywa — wojną niemiecką, „nagłą i motoryzowaną". Jest to pełen grozy obraz przypuszczalnego napadu aeroplanów niemieckich na Paryż oraz wielkie miasta i ośrodki przemysłowe Francji, którego zadaniem byłoby zniszczenie ludności cywilnej i wszelkich środków obronnych (amunicji, uzbrojenia i t. p.). Fikcję swoja oparł autor na wielkiej ilości informacyj oraz dokumentów, rzucających światło na przygotowania Niemiec do tego rodzaju wojny przyszłej. Nadzieję udaremnienia zbrodniczych zamiarów niemieckich opiera autor na ocknięciu się instynktu narodowego Francuzów i współdziałaniu Anglji — której otwierają się oczy na machinacje Niemiec. (W. J.)

*

Niemniej aktualną od książki L. Daudet'a, tylko z innych względów, jest książka Roberta Vallery-Radot pt. „Dyktatura masonerii" (*„Dictature de la Maçonerie"*. Wyd. Grasset). Książka ta, uwzględniająca rozmaite lisie obroty i manewry masonerji francuskiej z lat ostatnich, — dąży do wykazania, na podstawie wybitnych faktów z dziejów trzeciej Respubliki, ciągłości w działaniach masońskich. Autor atakuje głównie ideologję masonerji, której wynikiem są liczne zbrodnie, jakich stała się ona instygatorką i obronicielką. (W.J.)

*

Znany krytyk, August Bailly, napisał książkę, poświęconą wielkiemu politykowi Francji, kardynałowi Richelieu (wyd. Fayard, str. 350). Szczególnością tej książki jest doszukiwanie się podobieństwa „dyktatury" Richelieu'go z dyktaturą Mussolini'ego, a to z powodu, iż jeden i drugi oparli się na autorytecie monarchy... (W. J.).

ZE ŚWIATA SZTUKI

SZTUKA BELGIJSKA

WYSTAWA sztuki belgijskiej w IPS'ie gromadzi 51 dzieł artystów zmarłych, 50 — współczesnych, żyjących, 10 prac rzeźbiarzy już nieżyjących, 20—rzeźbiarzy współczesnych, pozatem trochę grafiki.

Już z tego zestawienia widać, że to nie jest pokaz jakichś kilku grup, lub stowarzyszeń artystycznych Belgji, lecz raczej obraz plastycznej twórczości belgijskiej na pewnym odcinku czasu. Taki właśnie był zamiar organizatorów wystawy, którzy jej nadali nazwę: „Sto lat sztuki belgijskiej", upoważniając nas tem samem do mniemania, że zebrane dzieła odzwierciadlają wiernie stan plastyki narodu belgijskiego w wymienionym okresie czasu.

Danie obrazu wiernego, posługując się tak stosunkowo niewielką ilością prac, nie należy do zadań łatwych; trzeba uciekać się do skrótów syntetycznych, a to wymaga rozważnej decyzji, dużej wiedzy, doświadczenia, no i objektywizmu. Pozatem istnieją rozmaite trudności natury czysto zewnętrznej: np. niemożność wypożyczenia niektórych dzieł ze zbiorów prywatnych lub muzealnych, kłopoty transportu i t. p. .

Organizatorzy wystawy niewątpliwe dzięki wspomnianym wyżej zaletom, zdołali osiągnąć, w wielu wypadkach, wyniki szczęśliwe, ma jednakże wystawa i usterki, błędy, których łatwo można było uniknąć. Skoro np. uwzględniono grafikę, należało traktować ten dział bardziej serjo: przypadkowe umieszczenie, w jednej z sal, kilku, nawet dobrych, akwafort i suchorytów, najmniej orjentującego się widza nie zdoła złudzić, iż tak właśnie wygląda cała współczesna twórczość grafików belgijskich. Pomijając już nieobecność w tym dziale trzech znanych na całym świecie nazwisk: Ensora, Ropsa i Masserela (co słusznie krytyka podkreśliła), wiemy, że istnieje i pracuje w Belgji wcale spory zastęp grafików; suma ich prac dopiero mogła dać obraz współczesnej grafiki tego kraju. Także, nie wiedząc nic o zamiłowaniu Belgów do rzeźby, możemy być pewni, iż niektóre z wystawionych dzieł rzeźbiarskich, dość słabe, można było zastąpić, niewątpliwie istniejącemi, lepszemi.

Po tych paru zastrzeżeniach, przyjdźmy do oceny pozytywnych wyników wystawy. Zawiera ona utwory, objęte nazwą sztuki belgijskiej: gdy zajrzymy do historji, nie znajdziemy tam podobnego określenia. Pojęcie Belgji, jako państwa, jest stosunkowo młode, a kultura plastyczna Belgów— stara i znakomita. Na ziemi ich bowiem kwitło niegdyś wspaniałe malarstwo flamandzkie i dzisiejsi Belgowie są jego w prostej linji spadkobiercami. Dla nas będzie ciekawe zagadnienie, w jaki sposób potrafili ten spadek wykorzystać, lub, ewentualnie, schedę pomnożyć.

Malarstwo flamandzkie przeżywa dwa wspaniałe okresy: w wieku XV-tym i XVII-tym. Pierwszy wydał: Van Eyck'ów, Rogera Van der Weyden'a, Hugona van der Goes'a, Memlinga; drugi — Rubensa, Jordaensa, Teniersa i innych. Dzieła malarzy obu tych okresów, tak różne w ujęciu, nastroju i wyrazie, mają jednak pewną zasadniczą cechę wspólną: g ł ę b o k i e p o c z u c i e r z e c z y w i s t o ś c i ś w i a t a w i d z i a n e g o. Prymitywiści, chociaż nastrojem swych dzieł unoszą nas wzwyż, nie zapominają o najdrobniejszym szczególe swych kompozycyj, znacząc z dociekliwą skrupulatnością każdy kwiatek, trawkę, kamyk, listek, zmarszczkę, włos, fałdę i szczegół ornamentu tkaniny. Jest to materjalizm uduchowiony miłością do rzeczy i przedmiotów, dzieł Stwórcy, który w wieku XVII-tym, wraz z zupełną zmianą nastroju obrazów (a raczej jego brakiem), przeradza się poprostu w chwalbę samej materjalności rzeczy, w opiewanie ich zmysłowej cielesności. Ta sztuka, wyrosła w atmosferze dostatniej i spokojnej, wytwarza i odpowiednią dla siebie fakturę malarską: tęgą, zręczną i pewną, podkreślającą również materjalność farby.

To poczucie konkretności rzeczy tkwi w dzisiejszem malarstwie belgijskiem także, a dobra i stara kultura malarska przyczyniła się do utrzymania dość powszechnej jednolitości poziomu.

Gdybyśmy się chcieli posłużyć, dla zobrazowania stanów malarstwa naszego i belgijskiego, często dziś stosowanemi wykresami graficznemi, tobyśmy zobaczyli, jak krzywa poziomu polskiej tablicy ciągle skacze, to w dół, to w górę; a na belgijskiej — biegnie równo i spokojnie, bez większych odchyleń. W poszczególnych wypadkach (w XIX-tym wieku) my notujemy wzloty wgórę, ponad najwyższy poziom belgijski, ale u nich krzywa ogólnego poziomu nigdy nie opada tak nisko, jak u nas. My mamy znakomitych m a l a r z y, oni dobre m a l a r s t w o.

Ale, naogół, nie potrzebujemy obawiać się zestawienia. W dziale retrospektywnym, oglądając wiele płócien belgijskich, nieraz przypominamy sobie rozmaitych naszych malarzy XIX-go wieku. Robimy porównania i te wypadają raczej na naszą korzyść. Niezły jest np. klasycyzujący portrecista, Navez, ale o ileż lepszy w rysunku, szlachetniejszy w barwie i technice nasz Rodakowski! Gallait przypomina Matejkę, bez jego potęgi wyrazu. Wystawiony obraz E. Smits'a p. t. „Roma" stwierdza, że Siemiradzki jest lepszym majstrem w tym samym zakresie. Belgijczycy nie bez słuszności chlubią się de Braekeleerem, gdyby jednak zobaczyli naszego Michałowskiego... Natomiast A. Stevens, w temacie przypominający Czachórskiego, bije go kolorem.

Przeważają, także w dziale współczesnym, barwy ciemne, ciepłe i nasycone. Technika olejna, stosowana z umiarem, bez figlów fakturowych, podkreśla często mastkość farby, co zresztą nie jest regułą i zanika w obrazach, uwydatniających wartości rysunkowe.

Niektóre obrazy wyglądają tak, jakby powstały w zasięgu wpływów szkoły prof. Pruszkowskiego.

WIKTOR PODOSKI

TEATR

TRZY PREMJERY

DLA człowieka czterdziestoletniego, który — jak się to właśnie zdarzyło niżej podpisanemu — miał przyjemność spędzić lata szkolne w przedwojennym Lwowie, przedstawienie „Ich czworga" Zapolskiej w Teatrze Małym jest poniekąd wycieczką w kraj lat dziecinnych. Wycieczką — co tu gadać — rozkoszną, pomimo że podczas niej autorka każe nam brnąć w tak zwanem „moralnem błocie" i oddychać atmosferą, której zapach ma zaiste bardzo niewiele wspólnego z wonią jaśminów w Parku Stryjskim.

Bardzo niewiele... Hm. Tak mi się napisało, po namyśle, jednak nie jestem zupełnie pewien, czy to prawda. A gdzież Fedycki flirtował z panną Manią, jeśli nie w Parku Stryjskim? Na Wysokim Zamku? Jaśminy i tam pachną w czerwcu oszołamiająco.

Z dziwnem, bardzo dziwnem uczuciem przypatrywałem się owej „tragedji ludzi głupich" jak swoją sztukę Zapolska określiła w podtytule. Pomimo, że przedstawienie raziło pewnemi drobnemi niedociągnięciami, o których wspomnę później — odmłodziło mnie ono conajmniej o lat dwadzieścia pięć. Jaki szczęśliwy pomysł miała pani Modzelewska, kładąc na siebie gorset, ubierając się w tualetę przedwojenną i w kapelusz duży z piórami! Jestem jej zato serdecznie wdzięczny. Nie rozumiem ludzi — rozmawiałem w antrakcie z takimi — którzy wzięli reżyserowi za złe, że sztuki nie zmodernizował. Po kiego licha miałby ją modernizować? Właśnie dzięki „talji" pani Modzelewskiej miałem wrażenie, że jestem czwartoklasistą i że podglądam przez okno prywatne życie któregoś ze swoich profesorów.

„Tragedja", pokazana w „Ich czworgu" przez Zapolską, mogłaby się zdarzyć oczywiście nie tylko przed wojną, nie tylko we Lwowie, ale zawsze i wszędzie, w każdem innem, niekoniecznie polskiem mieście. Mogłaby się zdarzyć niekoniecznie w prowincjonalnym głuptakom, których kolekcję doborową oglądamy na scenie, lecz również ludziom mądrym i żyjącym w wielkim świecie. Nie jestem jednak pewien, czy— gdyby ją Zapolska pokazała na innem tle — mógłbym się tą sztuką wzruszać tak głęboko, jak się nią wzruszam. Wątpię również, czy bohaterowie jej budziliby we mnie to dziwnie pobłażliwe współczucie i tę (sprzeczną być może z intencją autorki) sympatję, jaką budzą obecnie.

Jeden z indyjskich poetów (ani rusz nie mogę sobie przypomnieć w tej chwili który) powiedział: „Dla mieszkańców Delhi pachnie mile nawet smród tego miasta".

Żal mi serdecznie zdradzonego suplenta (pomimo, że mi może postawił niejedną dwóję) ale również żal mi serdecznie jego żony, którą zanudzał Owidjuszem. Nie mam pretensji do Fedyckiego o to, że mu przyprawił rogi. Ten Fedycki w gruncie rzeczy to wcale dobry chłopak. Pomimo wszystkich jego „kantów" nie miałbym serca wsadzić go do kryminału.

Żarty na bok. „Ich czworo" wzrusza nietylko „lwowskością", nietylko wybornym rysunkiem postaci bystro zaobserwowanych i nietylko wiernem oddaniem podsłuchanych w życiu djalogów. Sztuka ta imponuje mistrzostwem roboty komedjopisarskiej. Cóż za majstersztyk kompozycji! Jaka zwartość konstrukcji! Co za solidność budowy! Sztuka robi wrażenie utworu machniętego od ręki z żywiołowym temperamentem — ma całą bezpośredniość szkiców węglem z natury — a równocześnie niema w niej ani jednego szczegółu, konstrukcyjnie zbytecznego. Każda scena jest niezbędna. Każde powiedzenie również. Żadnego bez szkody dla całości nie możnaby skreślić. Dowcipów mnóstwo, ale nic z gadatliwości, tak charakterystycznej dla komedjopisarek dzisiejszych. I nie tylko dla komedjopisarek. Dla komedjopisarzy również. Dowcipne powiedzenia nie są luźno jak paciorki nanizane na sznurek — jak to się zazwyczaj w dzisiejszych polskich komedjach praktykuje — lecz są mocno osadzone na właściwych miejscach. Wskutek tego ani jedno nie przepada. Wszystkie wywołują zamierzony efekt.

Przedstawienie naogół bardzo udane. Szkoda tylko, że wykonawcy przesadzali lwowskość akcentu. Mówili karykaturalnie, a każdy aktor w dodatku przeciągał wyrazy inaczej. Brzmiało to dosyć kakofonicznie. Może lepiej byłoby na akcent lwowski się nie silić, skoro na autentyczny zdobyć się nie było można. Dla mnie „Ich czworo" byłoby typową sztuką lwowską, nawet wówczas, gdyby aktorzy mówili polszczyzną nieregjonalną. Poza tem zastrzeżeniem musimy złożyć szczere i gorące komplementy panu Woskowskiemu, który bardzo starannie opracował rolę profesora, pani Modzelewskiej, która w rolę profesorowej włożyła bardzo dużo dobrej woli, a chociaż się na lwowszczyźnie potykała co chwila, przecież szereg scen zagrała wybornie, pani Żabczyńskiej, która wiernie odtworzyła lwowską szwaczusię, panu Wesołowskiemu, który odegrał Fedyckiego jak mógł najlepiej, doskonałej kucharce p. Krzymuskiej i panu Hajdudze— wybornemu „fiakrowi".

SZTUKA Bourdet'a p.t. „Ciężkie czasy", wystawiona w Teatrze Polskim, przenosi nas w ginący — jak się okazuje — świat francuskich burżujów. I to burżujów niebylejakich, ale takich najgrubszych, najbogatszych, najbardziej wpływowych, najpotężniejszych, którzy jeszcze do dnia dzisiejszego dzierżą w Trzeciej Rzeczypospolitej rządy, jeszcze są udzielnymi książętami francuskiej demokracji, ale — jak ze sztuki Bourdet'a możemy wnioskować—dni ich panowania są już policzone. Będą musieli niebawem wypuścić z rąk władzę i ustąpić miejsca innym potęgom, ponieważ: popierwsze — fortuny ich zostały zrujnowane przez kryzys, powtóre zaś — i co gorsza — są warstwą kompletnie, do szpiku kości zdegenerowaną.

Autor w pierwszym akcie wprowadza nas do domu takiego francuskiego mieszczańskiego dynasty, potentanta przemysłowego, który doniedawna trząsł europejskim rynkiem, bliskiego literackiego krewniaka właściciela kuźnic z Oktawjusza Mirbeau „*Les affaires sont les affaires*". Zapoznajemy się z całą rodziną. Cóż za okropna rodzina! Szambelanicostwo Czasnoskalscy i hrabia Kotwicz-Dahlberg z granych obecnie w Teatrze Narodowym „Rozbitków" Blizińskiego są wobec bohaterów sztuki Bourdet'a okazami moralnego zdrowia i tężyzny duchowej. Rodowi matryarchuje nawpół zidjociała starucha, o sercu zupełnie wyschniętem, pozbawionem uczuć macierzyńskich (przez dwadzieścia lat nie chciała zobaczyć swego młodszego syna, który popełnił mezaljans, żeniąc się wbrew woli rodziny z byłą aktorką), baba, która nie myśli o niczem innem, tylko o napełnianiu żołądka ciężko strawnemi przysmakami i o swoim nieznośnym, zapasionym piesku pokojowym. Jedna z jej córek jest warjatką, izolowaną w pałacowym pawilonie, w głębi parku, skąd dochodzą jej wrzaski. Inna dama, należąca do rodziny, jest w ciąży i produkuje przed publicznością rozmaite nienormalne kaprysy, wynikające z tego stanu. Między innemi, naprzykład, usiłuje uwieść na scenie swego rodzonego wuja. Męża nie cierpi, nie może na niego patrzeć. Mąż tedy hula, wymykając się raz po raz z domu na birbantki. Wuj nie pozwolił się wprawdzie w akcie pierwszym kazirodczo zgwałcić, ale w dwa akty później zachowuje się lubieżnie wobec dziewiętnastoletniej córki swego szwagra. Jednem słowem same okropności.

Otóż rodzina ta, wskutek kryzysu, znalazła się nad brzegiem przepaści bankructwa. Rekin przemysłowy musiał dopuścić do spółki w swoim koncernie przedstawicieli kapitału belgijskiego. Obawia się, że oni zagarną kierownictwo interesów. Aby temu przeszkodzić, godzi się z młodszym bratem, wygnanym z domu za mezaljans przed dwudziestu laty. Godzi się tylko dlatego, że brat ów posiada w przedsiębiorstwie trochę akcyj, które mogliby wykupić Belgowie. Brat ów tedy — amator malarz — zjeżdża na wieś razem z żoną i dwojgiem dorosłych dzieci. Syn jego jest dekoratorem kinematograficznym, córeczka zaś debjutującą szampionką sportową i kandydatką na gwiazdę filmową. W córeczce tej zakochuje się zdegenerowany potomek innej, bardzo bogatej dynastji burżujskiej. Jest to młody pół-paralityk, pół-kretyn. Pomimo to, przy pomocy brylantowego pierścionka i obietnicy innych luksusowych podarków, udaje się rodzinie skłonić uroczą, młodą dziewczynę do małżeństwa z tym zwyrodnialcem. Sprzedano ją w tym celu, żeby uratować koncern od nieuchronnego bankructwa. Nie przydało się to jednak na nic, ponieważ w ostatnim akcie fortuna jej męża również została pochłonięta przez jakąś katastrofę finansową.

Sztuka napisana jest z wielką werwą, zbudowana raczej wodewilowo, niż dramatycznie, ale daje wspaniałe pole do popisu aktorom. Skorzystali z tego pola skwapliwie i dali nam przedstawienie bardzo interesujące. Francuskim rekinem przemysłowym jest pan Bogusław Samborski. Jest wybornie ucharakteryzowany i gra znakomicie. Rolę starej matki rodu odtwarza po mistrzowsku pani Stanisława Wysocka. Damę w ciąży odgrywa doskonale pani Halska. Świetnie odstawia pół-kretyna, pół-paralityka p. Daczyński, żonę jego gra pełna wdzięku pani Smosarska. Pozatem komplementy należą się panu Wojciechowi Brydzińskiemu i paniom Pancewiczowej oraz Gellównie, a także reżyserowi i dekoratorowi.

„Ciężkie czasy" zostały przełożone nienagannie przez p. Jana Lorentowicza.

BARDZO miły wieczór spędziliśmy w Teatrze Letnim na sztuce rosyjskiego pisarza Katajewa p. t. „Kwieciste drogi". Jest to z wielkim talentem napisana satyra na specjalny gatunek sowieckich „działaczy publicznych", którzy robią karjerę i zdobywają sobie popularność wygłaszaniem prelekcyj o przyszłym raju komunistycznym, ale cała ich działalność ogranicza się do powtarzania frazesów oklepanych. Bohaterem sztuki jest właśnie taki karjerowicz, który nigdy w życiu nie shańbił się żadną pracą. Żyje na koszt uwodzonych przez siebie kobiet, przed któremi tokuje rozmaite oklepanki i banały. Pisze również broszury i wygłasza przez radjo odczyty o „przyszłym *uebermenschu*" i o miastach ogrodach, w których kiedyś szczęśliwa ludzkość będzie beztrosko przemieszkiwała, wyzwoliwszy się od konieczności jakiejkolwiek pracy, ponieważ wszelka praca zostanie przerzucona na maszyny.

Katajew w swojej sztuce wyszydza jawnie szereg poglądów utopijnych, które doniedawna stanowiły składową część komunistycznego *credo* i były oficjalnie głoszone przez ideologów sowieckich.

„Kwieciste drogi" można w pewnym sensie uważać za apologję rodziny i małżeństwa, które parę lat temu było w Rosji sowieckiej na serjo uznawane za burżuazyjny przeżytek, tolerowany wprawdzie tymczasowo, ale skazany na zagładę.

Okazuje się z utworu Katajewa, że komuniści nie marzą już bynajmniej o eksperymentach w rodzaju socjalizacji kobiet. Z instytucją małżeństwa całkowicie się pogodzili, ograniczywszy się w gruncie rzeczy tylko do zmodyfikowania systemu zawierania ślubów oraz systemu brania rozwodów.

Sztuka ma cztery akty. Akt trzeci stanowi samoistną, doskonałą jednoaktówkę i mógłby być grany zupełnie oddzielnie. Pełno w „Kwietnych drogach" bardzo dobrych konceptów. Przekład świetny. Reżyserja staranna. Dekoracje dobre.

Bohaterem wieczoru jest dawno nieoglądany na scenie Marjusz Maszyński. Gra on główną postać w komedji. Kreacja jego tryska humorem i zaraża nim wszystkich widzów, którzy bawią się widowiskiem doskonale, wynagradzając raz po raz znakomitego artystę huraganowemi oklaskami.

ZASTĘPCA

FILM

MAJESTIC: „Petersburskie noce", reż. Roszal, film sowiecki.

Wśród wielu zalet, wysokiej nieraz wartości artystycznej filmów sowieckich, można wyodrębnić jedną, tak stałą i niezmienną, iż należy ją nazwać cechą charakterystyczną. Jest nią niemal zawsze znakomite ujęcie plastyczne ukazywanej treści. Reżyser i operator sowieccy to, zarazem, utalentowani artyści-plastycy, którzy potrafią zawartość ekranu, w każdym z jej momentów, pomysłowo i nieraz b. oryginalnie rozmieścić pod względen kompozycyjnym, w prostokącie obrazu. Umieją posługiwać się światłocieniem i uplastyczniają nim z zamiłowaniem twarze ludzkie, w prześlicznych i wyrazistych „zbliżeniach". Ukazywany zbliska naskórek rzeczy nadaje im pozory jakiejś nowej, drogocennej martwej natury. W pejzażu podkreślają nastrój, posługując się przeważnie najprostszym jego motywem, pozornie mało efektownym. Film sowiecki, jeśli już nie posiada innych zalet, jest przynajmniej rozkoszą dla oczu. Pozatem ilustracja muzyczna, zwykle b. starannie opracowana, wpełni usprawiedliwia swą nazwę, gdyż dopowiada dźwiękowo sens, jaki należy wysnuć z ukazywanej jednocześnie treści wizualnej.

Wszystkie te, wymienione zalety odnajdujemy także w „Petersburskich nocach". Trzeba dodać, iż jest to film grany, jak się mówi „na wytrzymanie" wszystkich efektów, zwłaszcza gry aktorskiej. Oko aparatu operatora przesuwa się powoli po twarzach, postaciach, przedmiotach, rzeczach... taki system ma w sobie coś ze smakoszostwa: pozwala rozkoszować się każdym szczegółem i szczególikiem, jednocześnie jednak stwarza niebezpieczeństwo dłużyzn, zagubienia tempa, każe żywić obawę o zatracenie jednolitości rytmiki. Zarazem zbliża film do teatru, co tu najwyraźniej zaznacza się w sposobie mówienia aktorów, powolnym i patetycznym. Pod koniec bieg akcji roztapia się w szeregu obrazów, zbyt jednostajnych w nastroju.

Treścią filmu są równolegle przeprowadzone dzieje dwu żywotów artystycznych. Wysoce utalentowany skrzypek-kompozytor, wbrew wszelkim danym, doznaje szeregu niepowodzeń życiowych i żyje nieomal w nędzy. Jego sztuka nie znajduje zrozumienia u tych, którzy mogliby mu dopomóc do zrobienia karjery artystycznej. Ale większą może ku temu przeszkodą jast charakter artysty. Natura bujna, nie znosząca żadnego jarzma, wypowiada się śmiało i otwarcie, rąbie prosto z mostu to, co myśli, nie licząc się z niczem i z nikim. Oczywiście, ponieważ i wtenczas (rzecz się dzieje w połowie XIX-go wieku) byli urzędnicy do spraw sztuki, nie wychodzi mu to na dobre.

Drugi muzyk, indywidualność mierna, lecz, przyznać trzeba, bardzo pracowity, umie się przypodobać i publiczności i „sferom urzędowym". Umie się „przystosować". Naturalnie robi karjerę.

Losy tej postaci niejedną przywodzą na myśl analogję ze współczesnej nam rzeczywistości.

Ten drugi muzyk nazywa się Szulc (szczegół, w rosyjskim filmie, nie pozbawiony pewnej pikanterji).

Najmocniejszą w całym utworze jest scena koncertu, znakomicie przeprowadzona w montażu, mistrzowsko odmierzonemi dawkami poszczególnych obrazów oraz ich zestawieniem, umiejętnie potęgująca narastanie temperatury nastroju.

Pozatem, trzeba podkreślić, reżyser chętnie posługiwał się wymową symbolu, wmontowując w tym celu, w odpowiednich momentach, fragmenty pomników Petersburga.

KANDYD

WYJAŚNIENIE

W nr. 47 „Myśli Narodowej" poruszyliśmy w „Głosach", w charakterze przykładu, parę faktów wciskania się pisarzy żydowskich do literatury polskiej wskutek nieoględności wydawców. Była mowa o Mirandoli (Piku), który tłumaczył Kiplinga i Wittlinie, tłumaczu „Odyssei".

Wydawnictwo Polskie R. Wegnera w Poznaniu poczuło się temi uwagami dotknięte z tego względu, że autor uwag nie przytoczył faktu, iż przekład Mirandoli wydany był w braku innego 10 lat temu i że samo wydawnictwo uznało potrzebę ponownego wydania Kiplinga w innym przekładzie, mianowicie Birkenmajera. Z wystosowanego redakcji naszej listu przytaczamy wyjaśnienie, aby dać dowód lojalności wobec wydawnictwa, którego działalność wysoko cenimy:

„Przekład Ksiąg Dżungli przez p. Czekalskiego, w którego ocenę wchodzić nie mamy powodu, stanowił własność pewnej firmy warszawskiej z czasu, gdy Polska do Konwencji Berneńskiej nie należała. Po nabyciu od p. R. Kiplinga praw autorskich, Wydawnictwo Polskie nie mogło korzystać z przekładu p. Czekalskiego już z tego prostego powodu, że należał on do innej firmy. Zamówiliśmy więc przekład Ksiąg Dżungli u znanego naówczas tłumacza, p. Mirandoli...

Dążąc do tego, by dzieła Kiplinga ukazały się w jednolitym, pierwszorzędnym przekładzie, Wydawnictwo Polskie już przed kilkoma laty zwróciło się w tej sprawie do znanego literata i świetnego tłumacza z angielskiego p. prof. Józefa Birkenmajera. W jego przekładzie ukazały się u nas w nowych wydaniach: „Kim", „Światło, które zgasło", „Gawędy z pod Himalajów", „Kapitanowie Zuchy". Wreszcie kolejno wyszły w 1932 roku jego „Pierwsza Księga Dżungli", a obecnie „Druga Księga Dżungli". O fakcie tym i świetnym walorze przekładów p. J. Birkenmajera mogli się dowiedzieć czytelnicy „Myśli Narodowej" z numerów 15.IX.1927, 25.VIII. 1929, a co do „Pierwszej Księgi Dżungli" z nr. 20.IX.1931 (fragment „Pieśni Młodego Myśliwca") i z 26.III.1933".

Przytoczone w liście artykuły „Myśli Narodowej" najlepiej świadczą o uznaniu, jakie żywimy dla całokształtu wydawnictw p. R. Wegnera. Autor uwag, podzielając to uznanie, nie mógł się jednak wyrzec prawa wspomnienia o Mirandoli przy rejestrowaniu pisarzy żydowskich. Wszyscy potrochu, zwłaszcza w starszem pokoleniu, musimy się przyznać do grzechu zbytniego tolerowania żydów w literaturze. Obecna akcja oczyszczania literatury z tej inwazji musi być witana zarówno przez pisarzy polskich, jak i wydawców z zadowoleniem, chcćby czasami zrobiła przykrość wypominaniem starych grzechów.

OFENSYWA

EKCELLENCE RZYMOWSKI

RÓWNOCZEŚNIE dwa dzienniki rozpoczęły kampanje moralizatorskie.

W Krakowie „Ilustr. Kur. Codzienna" w sprawie niemoralności i zepsucia wśród dzieci i młodzieży... co dało dziennikowi okazję, do przemycenia kilku pikantnych i pieprznych szczegółów.

W Warszawie „Kurjer Poranny", piórem W. Spiczyńskiego, uderzył w gong oburzenia, że w Polsce „dzieci biją" i „katują"...

Oczywiście faryzeizm *in summo gradu*, wprost piramidalny i kpiny z czytelników, karmionych na codzień, normalnie, gwałtami i gwałceniem nieletnich i letnich, apoteozami sadystów i reklamą ekshibicjonizmu.

To są atoli tylko początkujący uczniowie kunsztu faryzejskiego, ci, co tem oburzeniem i moralizatorstwem się popisywali. Gdzie im do wirtuoza, do nauczyciela! Mistrzem nad mistrze, jest i pozostanie bez konkurencji, ten pan Rzymowski, świeżo wraz z bratem upourboirowany jakimiś tam najwyższymi orderamami. Nie wiedzą już, jak go ufetować, udekorować i ugościć za to, że w porę zdezerterował z „Robotnika", z P.P.S. przeszedł do B.B.W.R. i wiernie obsługuje *dictatorship*.

Trzeba przyznać, że robi, co może, stara się i stera się, wykonuje wszystkie zlecenia i poruczenia, niekiedy nawet dość nieprzyjemne posługi.

Sanszo Pansa, pozujący upornie na Don Kiszota, faryzeusz, lata całe udający Farysa, sybaryta, ucharakteryzowany na rycerza doktryny, najelastyczniejszy oportunista, zgrywający się na księcia niezłomnego.

Od czasu do czasu, wypomina temu Owidjuszowi jego metamorfozy i renegację biedny pustelnik z Wareckiej, który widocznie chciał, aby Owidjusz też karmił się korzonkami i jagodami z lasu. „Robotnik" gotów już był Rzymowskiemu, po powrocie z Rzymu, podwyższyć wierszowe o 2 grosze, byle przy nich został i może dziś cierpiał tak, jak Liebermann w Paryżu... za... miljony. Ale Odyssej Rzymowski nie dał się uwieść syrenom z Czerwonej Wyspy. Wrócił z Italji jako ofiara (*sic*) despoty Mussoliniego, przeszedł Wisłę, przeszedł Wartę, przeszedł Rubikon i znalazłszy się na mocnym grucie, wyznał wnet szybko, że Brześć był rzeczą „słuszną i konieczną" a... pozostawanie w szeregach P. P. S. nie jest rzeczą ani słuszną, ani konieczną. Jakiś czas jeszcze miał czkawkę... o Matteottim (i Amendoli), jakiś czas jeszcze rozdzierał szaty jako ekstatyk Crocego, jakiś czas jeszcze liberalniczył i wydziwiał na faszyzm, ale wreszcie opamiętał się i poszedł do przymiarki, żeby mu skroili normalną liberję. *Mangi e taci* czyli: jedz, milcz i popuszczaj pasa. Wierność doktrynom, „charakter", postawę i dewizę markuje Rzymowski w ten sposób, że od czasu do czasu rzuca się na Endecję, na reakcję, na *calotte*, na wsteczników, udając krwiożerczego wilka, a nawet tygrysa (*á la* Clemenceau). I temi napaściami, nasz Rycerz Konjunktury rozbraja i obezwładnia dawnych kamaradów, równocześnie rozradowując duszę, i pułkowników w cywilu, i zwykłych żydów i kolegów redakcyjnych, i bezbożników, i lubieżników P. P. S. i ludzi z Wareckiej, nigdy w napaściach nie tknie, udając, że nie widzi, nie słyszy i nie czytał, gdy go demaskowali i rugali. Widocznie szczwany Jakobin, coś tam dużo ma: *debet* na swym koncie, więc woli przycupnąć w kącie i tam połknąć despekta. Natomiast ile razy go łupną z Wareckiej, to zaraz to sobie odbija hyjeniem wyciem na obóz narodowy, mszcząc się przez lata całe za to, że się mu wywlekło z okresu wojny europejskiej, wydaną w Berlinie za pieniądze pruskie (Stilke Verlag), broszurę *„Deutschland und die Koalition"*.

W ostatnim roku Rzymowski, dawał do poznania, że byłby niby, w razie czego, za „dyktaturą klas rewolucyjnych" czyli za „faszyzmem lewicowym", za co go pochwalił i poklepał, po ramieniu Hirschhorn. Drugą laurkę od żydów dostał za to, że z katylinarnym cynizmem, po tajemniczem zamordowaniu ś.p. Pierackiego insynuował, jakoby mordu dokonali „pachołkowie Dmowskiego" i judził lekko do pogromów *„gaspadinow studientow"*. („Powanniak" 18.VI i dalsze).

Ostatnio podstarzały Lovelace z pod parkanu (*vieux Satyr*) miesza się i w teatr i w „krzewienie" teatru i pisze recenzje, a za majstersztyk faryzejskiej djalektyki możnaby uznać krytykę komedji Krzywoszewskiego (jeszcze jako redaktora „Świata").

O „Krzyczćie Chiny" Trietiakowa napisał Rzymowski dwukrotnie w ciągu trzech dni. W recenzji z 9.VII ze sztuki Romanowa w „Teatrze Kameralnym" nazwał sztukę Tretiakowa „poronionym pomysłem teatralnym" i pytał, „co chciał osiągnąć Schiller, inscenizując w Ateneum dialogowaną tandetę Tretiakowa"?!

W drugiej recenzji wprost przeciwnie:

> „ferment, niepokój i bunt wewnętrzny (dający się zresztą, według autora, zauważyć w całej Europie) korzysta z każdej okazji, aby dać znać o sobie. Gdy niema okazji, korzysta nawet z takiego pretekstu, jak ostatnia premjera w Ateneum, i krzyczy „krzykiem Chin" o swoim „własnym bólu i tragizmie".

Poczem zapasiony radekał (2.500 zł. miesięcznej gaży), namawiał naszych „przemysłowców i obszarników", aby poszli do teatru na Powiśle i zobaczyli „rozpacz i zapał, z jakim publiczność robotniczego teatru odnajduje siebie w krzyku chińskich kulisów"... Dosłownie.

Niesmaczny sofista, wogóle nie zna miary w swych, często patetycznych, na zimno wykrzykiwanych, a pozornie wrzących pasją popisach. O świeżo powtórnie wydanej „Psychologji Religji" ś. p. Dawida, Rzymowski ni stąd ni zowąd, wpadłszy w sztuczny, obłudny trans, wypisuje takie kabotyńskie, bombastyczne:

> „Ta walka, ten żarliwy tytaniczny wysiłek, w jakim autor zmaga się sam ze sobą, aby wulkaniczną, ognistą lawę swych wzruszeń, bijącą z czeluści serca, rozrytego cierpieniem, opanować i przezwyciężyć; aby z męki dobyć prawdę, a z prawdy wytopić słowo odkupienia,—ta mężna, nieustraszona walka obleka pośmiertną książkę Dawida w proporcje, zaiste heroiczne, archanielskie. Ten jego głos z poza grobu zdaje się być, naprawdę, głosem nieśmiertelności."

Rzecz prosta, że ani jednemu superlatywowi z tej ekstazy wierzyć ani na chwilę nie można. Ten człowiek zapala się na całkiem zimno. Nihilista, nakłada tylko maskę żarliwego zelanta i upaja się swojemi stylistycznemi fioriturami i werbalnem zdobnictwem. Szczerze, do głębi i osobiście nienawidzi Rzymowski, tylko Pana Boga w niebie, Papieża w Rzymie, a w Warszawie Endeków i... Pułkowników (*sic*).

Na pierwszych wolno mu napadać, na drugich do końca życia ani słóweczka, jak również ani na wojsko, ani na militaryzm, więc z furją i pasją skoncentrowaną, ciska się nasz Jakobin na obóz narodowy, dochodząc w atakach, do prostactwa, do wulgarności, do obłędu prześladowczego.

Jako całość przypomina ten Mefistofelix z brukowca może pewne figury z Dostojewskiego, a raczej jeszcze z Sołoguba (*„Mielkij Bies"*), Pelikana z „Dziadów" też coś czasem przypomina. „Świętoszka" Moljerowskiego także (*á rebours*).

Pozatem intelekt europejski, a stylista interesujący, czasami rozbawiający. Jako człowiek, to kompromisowiec, arrivista i *in summo gradu*, na spokojnie i chłodno, ale żarłocznie i zachłannie.

Poświęciło mu się tu większą laurkę, za ostatnią napaść, po święcie Narodowem..

Mangi e taci! Po polsku: żryj i milcz! I nie wysilaj się w służbistości, bo dyktatura tego się nie domaga i bez tego obejdzie się całkowicie.

Con devocione.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

— Nareszcie krytyk literacki został odznaczony!
— Któż taki?
— Leon Pomirowski (Pomper).
— A inni?
— Inni sami się odznaczyli.

*

— A co dostał Pomirowski?
— Złoty krzyż zasługi.
— Zasługi? — powiadasz.
— Napisał bardzo pochlebnie o powieściach Kadena-Bandrowskiego.
— No to co?
— Ba, ale on je także podobno przeczytał!

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 8/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM